L. WŁODEK

Na ziemi WASZYNGTONA

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 40 kop., w oprawie 55 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

Redakcya i Administracya: Warszawa, Sienna 2, we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

FILIA W ŁODZI:
Maryan Fuks, właściciel kantoru łódzkiego „Świata”, Zachodnia 28 róg Konstantynowskiej.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70. Tel. 27-73.

LUDWIK WŁODEK.

Na ziemi Waszyngtona

Wrażenia z podróży. —
Szkice amerykańskie. —
Polacy w Ameryce.

TOM II.

Cena 55 kop.
W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya Sienna № 2, (Dom Towarzystwa Rosya). Telefon 114.30.

WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH".

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH" (Warszawa, Sienna Nr. 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1909.

Tom.		CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
569, 570.	**A. Gruszecki.** ZALOTY BIUROKRATY. Powieść 2 tomy	1.10	50
571.	**J. Andruszewski.** NASTROJE 1 tom	55	40
572.	**Wł. Jagniątkowski.** KARTKI Z PODRÓŻY PO INDO-CHINACH 1 tom	55	40
573.	**M. Raczyńska.** MOIZES. Powieść 1 tom	55	40
574.	**Z. Sokołowska.** SYCYLIA I KALABRIA. Podróż 1 tom	55	40
575, 576.	**Wiktor Gomulicki.** ON I ONA. Powieść 2 tomy	1.10	80
577.	**Papus.** WIEDZA MAGOW 1 tom	80	40
578, 579.	**Z. Ćwirko.** PO SZCZĘŚCIE. Kartka z pamiętnika 2 tomy	1.10	80
580.	**Emil Reych.** NIEMCY WSPÓŁCZESNE 1 tom	55	40
581, 582.	**Abgar-Sołtan.** POLUBOWNA UGODA. Powieść 2 tomy	1.10	80
583.	**J. Bourdeau.** KIEROWNICY MYŚLI WSPOŁCZESNEJ 1 tom	55	40
584.	**Robert-Louis Stevenson.** DZIWNA HISTORYA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDE'A 1 t.	55	40
585.	**Gryf.** NA PRZEŁOMIE 1 tom	55	40
586.	**M. Arcybaszew.** ŚMIERC LAUDEGO 1 tom	55	40
587.	NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELENY. Pamiętnik hr. Balmain'a. Przełożył Maciej Wierzbiński 1 tom	55	40
588, 589.	**M. Czerny.** ZA CO? Powieść 2 tomy	1.10	80
590.	**L. Paul-Dubois.** IRLANDYA WSPÓŁCZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom	55	40
591.	**W. Lutosławski.** JAK TANIO PODRÓŻOWAĆ?—Wędrówki iberyjskie 1 tom	55	40
592.	**Władysław Renard.** ONE 1 tom	55	40
593, 594.	**Lafcadio Hearn.** LOTOS 2 tomy	1.10	80

KATALOG „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH"

z lat 1906, 1907 i 1908.

Cena pojedynczego tomu 25 kop. brosz. i 40 kop. oprawa.

POWIEŚCI.

Berta bar. Suttner. DZIECI MARTY, 2 t.
Z. Morawska. ZMIERZCH I SWIT, 3 t.
Antoni Gawiński. SEN ZYCIA, 1 t.
T. Jeske-Choiński. MAŁZENSTWO JAKICH WIELE, 1 t.
Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO, 2 t.
Marion. PAMIĘTNIK, 1 t.
Zofia Casanowa (Lutosławska). DOKTÓR WOLSKI, 2 t.
E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM, 2 t.
Wiktor Gomulicki. CIURY, 3 t.
Kazimierz Gliński. CO MÓWIĄ LASY LITEWSKIE, 1 t.
Eliza Orzeszkowa. ISKRY, 2 t.
Marya Rodziewiczówna. ANIMA VILIS, 2 t.
Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI, 1 t.
Stan. Ostrowski. A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA, 1 t.
Artur Schnitzler. ŚMIERC, 1 t.
Tadeusz Rittner. NOWELE, 1 t.
Alexandra Suszczyńska. INACZEJ, nowele, 1 t.
Teodor Dostojewski. BIESY, 8 t.
Maurice Leblanc. WYTWORNY WŁAMYWACZ, 2 t.
Eliza Orzeszkowa. WIDMA, 1 t.
Teod. Tom. Jeż. ZARNICA, powieść bułgarska, 3 t.
Józef Conrad (Korzeniowski). TAJNY AGENT, 2 t.
Marceli Prévost. LISTY DO FRANCISZKI ZAMĘŻNEJ, 2 t.
Jarosław Mikulicz. KROLEWIENKA, 1 t.
Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI, 3 t.
OPOWIADANIA CZECHOWA, 2 t.
Jerome Jerome. WŁOCZĘGA W TRÓJKĘ, 1 t.
Maurycy Barrès. POD PIKIELHAUBĄ, 1 t.
Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI, 2 t.
A. Kuprin. POJEDYNEK, 2 t.
Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM, 1 t.
Jerzy Rodenbach. DZWONNIK, 2 t.
Grazia Deledda. POPIOŁ, 2 t.
Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI, 1 t.
Henry Murger. SCENY Z ZYCIA CYGANERYI, 3 t.
E. Czirikow. NOWELE, 1 t.
Juliusz Zeyer. WIECZÓR U IDALII, 1 t.
Johan Bojer. MOC OPINII, powieść, 2 t.
Marion. MIRAZE, 3 t.
Conan Doyle. CZTEREJ, 1.
Tadeusz Jaroszyński. DWIE NOWELE, 1 t.
Conan Doyle. Z PRZYGOD SHERLOCKA HOLMESA, 1 t.
Hermann Heijermans. W PRZESTRZENI, humoreska, 1 t.
Upton Sinclair. TRZĘSAWISKO, 4 t.
W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, 1 t.
Herman Heijermans. MIASTO DYAMENTOW, 2 t.

Historya, Pamiętniki, Opowiadania historyczne i Podania ludowe.

Juliusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE, 2 t.
DRUGI ROZBIOR POLSKI. Z pamiętników Sieversa, 3 t.
NEWROZA REWOLUCYJNA, w D-rów Cabanès i L. Nassa, 1 t.
Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA, 1 t.
Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH, 10 tomów.
J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI (komuna paryzka), 1 t.
PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisł. Augusta, 3 t.
Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r., 1 t.
Jerzy Kennan. SYBERYA, 4 t.
Pamiętniki Kasztelana Narcyza Olizara. Rok 1831. 2 t.
Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA, 3 t.
Bonawentura z Kochanowa. WINCENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNOW, 3 t.
Kajetan Koźmian. PAMIĘTNIKI, 6 t.
Juljusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 I 1849, 3 t.
Aleksander L. Kielland. NAPOLEON I JEGO LUDZIE, 2 t.
Eugeniusz Checchi. GARIBALDI, 2 t.
Jędrzej Śniadecki. PISMA SATYRYCZNE, 3 t.
Louis E. Van Norman. POLSKA JAKO RYCERZ WŚRÓD NARODOW, 1 t.

Opisy, Podróże i Studya popularno-naukowe.

Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNÓW, 1 t.
Jerzy Grosjean. SZKOŁA I OJCZYZNA, 1 t.
Ludwik Włodek. NA POŁNOCY I NA POŁUDNIU, 1 t.
T. Grużewski (S. Topór). PANSTWOWOŚC ROSYJSKA, 1 t.
A. Kolb JAKO ROBOTNIK W AMERYCE, 1 t.
Jan Błeszyński. MAROKKO, 1 t.
W. Gomulicki. OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, 1 t.
Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE, 1 t.
Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LITERACKIE, 2 t.
G. Sarrazin. WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI, 2 t.
Ryszard Jefferies. HISTORYA MOJEGO SERCA, 1 t.

Polacy w Ameryce.

ROZDZIAŁ XII.

Cechy ogólne emigracyi polskiej.

Emigracya polska do Stanów Zjednoczonych różni się zasadniczo od emigracyi do Europy zachodniej. Pierwsza ma charakter wyłącznie ekonomiczny, druga miała i ma cechy ściśle polityczne. Emigranci popowstaniowi szli na Zachód, zapatrzeni w ideę polską, świecącą im, jak gwiazda przewodnia; dla tej idei, źle czy dobrze, pracowali, uciekali od warunków, w których duchom ich było zbyt ciasno, pełni romantyzmu ówczesnego, gardzili walką o chleb powszedni; chcieli być ojczyzny swojej blisko, gotowi zawsze na jej usługi. Za ocean dążyli tłumnie Polacy, którym w starym kraju było zbyt ciasno, dla zarobku, dla zdobycia jakiego ta-

kiego utrzymania, porzucali ojczyznę w imię chleba powszedniego, którego im dać nie mogła.

Ta linia rozgraniczenia jest bardzo ogólnikowa. Każde powstanie nasze pozostawiało naturalnie pewien osad polski także i na wolnej ziemi amerykańskiej, ale osad ten był zbyt nikły, zbyt rozrzucony na przestrzeniach olbrzymich, aby mógł mieć wybitniejsze znaczenie. Tak samo wychodziły od nas jednostki, nawet dziesiątki i setki, do Europy zachodniej za chlebem, ale te tonęły wśród emigrantów politycznych. I tu, i tam były to więc wyjątki, które w niczem nie zmieniają przedstawionej na wstępie różnicy zasadniczej.

Pierwsze ślady ekonomicznej emigracyi polskiej do Stanów Zjednoczonych znajdujemy w r. 1855 i 1857. Dzieje się to za inicyatywą Ślązaka, ks. Moczygęby, który poznał pomyślne warunki Texasu dla kolonizacyi rolniczej i zwrócił na nie uwagę swoich rodaków. Emigrowało kilka wsi gromadnie, ze sprzętem i obejściem, nawet z obrazami, chorągwiami i krzyżem kościelnym. Przygody ich mogłyby wypełnić niejeden romans podróżniczy: nie brakło tam ani tytanicznej walki z obcą przyrodą, ani napadów Indyan, ani borykania się z dzikim zwierzem, z głodem, z brakiem wody. W tych walkach wielu zginęło marnie, inni pozakładali wsie i osady, noszące po dziś dzień szczeropolskie nazwy, ale ta najstarsza emigracya wielkich owoców nie przyniosła.

I szli po nich Polacy ze stron różnych, przedewszystkiem z zaboru pruskiego; to są dziś najstarsi i najpoważniejsi polscy obywatele amerykań-

scy, potem Polacy z Królestwa, z wyjątkiem okresu gorączki brazylijskiej, kiedy cały normalny i nawet więcej, niż normalny nadmiar emigracyjny ludności dążył do Ameryki południowej, wreszcie Polacy z Galicyi, których dziś najwięcej może przyjeżdża. Napływ Polaków z Prus ustał prawie zupełnie skutkiem bliższej a równie korzystnej emigracyi do Westfalii, z Królestwa zmniejszył się nieco, aby się znowu powiększyć w dwóch latach ostatnich z powodu ruiny ekonomicznej kraju, i z pewnością nadal jeszcze zwiększać się będzie. Polacy z Prus okazywali się zawsze najlepiej przygotowani do życia amerykańskiego i przystosowali się do niego najłatwiej. Polacy z Królestwa dostarczali wielu pracowników fachowych i byli, ogólnie biorąc, najinteligentniejsi, wreszcie Polacy z Galicyi byli i są najoszczędniejsi, o czem wymownie świadczą te miliony koron, które corocznie przechodzą z Ameryki przez poczty galicyjskie.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że ogólny poziom oświaty emigracyi polskiej wzrasta z każdym rokiem, czyli że co rok przybywają żywioły lepsze, bardziej podatne do życia społecznego.

Emigrowali prawie wyłącznie Polacy z warstw ludowych. Inteligencyę polską reprezentowały zaledwie jednostki, i to takie, które wedle jednozgodnych świadectw hańbę tylko mogły przynieść żywiołowi polskiemu. Wyjątki, oczywiście, są i tu, ale na palcach możnaby wyliczyć tych inteligentów, którzy dla rozwoju Polonii wielkie położyli zasługi.

Niema w tem nic dziwnego. Ameryka nie jest wcale rajem dla inteligencyi. Praca jej opłacana jest względnie licho; praktykowanie w zawodach wyzwolonych jest uwarunkowane doskonałą znajomością języka angielskiego i zdaniem egzaminów miejscowych; zaspokajanie potrzeb człowieka cywilizowanego jest niezmiernie kosztowne i w żadnym nie stoi stosunku do zarobków. Pracownicy głowy nie mają więc żadnego wyrachowania w wyjeździe za ocean i na szczęście wiedzą o tem. Jeżeli więc czasem jakiś aptekarz czy adwokat, lekarz czy buchalter, tknięty żywiołowym obłędem, rzuca wszystko w kraju, aby tu dorobić się milionów, to na jednego takiego fachowego pracownika przypadają dziesiątki jednostek absolutnie wykolejonych, bez wykształcenia, których przynależność do inteligencyi określają po europejsku białe ręce, rękawiczki i jakie takie formy towarzyskie.

Więc jeden w ojczyźnie swojej wszedł w małą kolizyę z kodeksem karnym, innego wysłała za ocean rodzina, bo chciała go się pozbyć, przyczyniał jej bowiem kłopotu swojemi sprawkami, jeszcze inny, niedołęga, który nie mógł dać sobie rady w poczciwej Europie, myśli, że zrobi karyerę w kraju najbardziej wytężonej walki o byt, wreszcie byli i tacy, których pchała w świat wrodzona żyłka awanturnicza. Niektórzy z konieczności biorą się do nieznanej im dotąd pracy ręcznej; niektórzy, najszczęśliwsi, wegetują, jako pisarki; ten i ów puszcza się na łatwy chleb skubania naiwnych przez grę w karty, pożyczki i t. d., zmieniając często miejsce pobytu; nie brak i takich, co zaczynają wi-

chrzyć wśród Polaków, bałamucić łatwowiernych, łowiąc mierne płotki w mętnej wodzie polityki polsko-amerykańskiej; dużo eks-hrabiów i szlachciców trudni się kelnerką w hotelach pierwszorzędnych. A wszyscy stanowią żywioł, wiecznie niezadowolony z siebie i ze świata; naturalnie — geniusze bez teki, kandydaci na ministrów lub zięciów miliarderów, muszą się utrzymywać z nędznej pracy.

Ileż to strasznych, rozdzierających historyi mógłbym przytoczyć z życia tej kategoryi emigrantów!

Inaczej bywa z pracownikiem ręcznym, chłopem od pługa, robotnikiem czy rzemieślnikiem. Ten przyjechał tu do swego krewnego, a jeżeli nie ma krewnych, to dom emigracyjny w New-Yorku lub proboszcz polski gdzieindziej znajdzie mu natychmiast zajęcie. I prawie na drugi dzień po przybyciu stoi już przy robocie, nieraz obcej mu, ale nie dziwnej, bo dziwna mu nie jest żadna praca ręczna.

Dla niego problemat emigracyjny jest więc rozwiązany natychmiast. Otrzymuje najmniej 1—2 dolarów dziennie; dziewczyna, jako służąca, dostanie 3—5 dolarów tygodniowo przy osobnym pokoju i pełnem utrzymaniu (1 dolar=2 rub.). Utrzymanie takie, które zaspakaja jego potrzeby, kosztuje tyleż, albo i mniej, niż w starym kraju. Zaczyna więc odrazu albo oszczędzać, albo też znacznie podnosi swoją stopę życiową. Nowa ojczyzna staje się dla niego istotnie ziemią obiecaną.

Rzecz charakterystyczna, że nawet wieśniak polski nie garnie się tu do pracy na roli, chociaż

farmerzy z południowych stanów, pragnący wszelkiemi siłami pozbyć się murzynów, gotowi są płacić białemu robotnikowi ceny bardzo wysokie. Farmy polskie powstają przeważnie z oszczędności, zrobionych w innych zawodach, rzadziej z kapitalików, przywożonych z kraju. Ta niechęć do pracy rolnej tłómaczy się może poprostu chęcią spróbowania nowego zawodu, chęcią korzystania z łatwości nieustannej zmiany zajęć, która cechuje życie tutejsze; jednym z jej objawów jest np. zwyczaj zawierania wszelkich umów wynajmu pracy tylko na tydzień.

Roboczą emigracyę polską można podzielić na dwie klasy: wiejską i miejską. Emigranci ze wsi, zwłaszcza jeżeli pozostawili za sobą ziemię, oszczędzają usilnie, posyłają dużo pieniędzy do kraju i często powracają, bo mają do czego powracać. Ziemia jest zawsze siłą przyciągającą, czy to dla chłopa, czy dla inteligenta; obserwując przed laty emigracyę urzędniczą polską w głębi Rosyi, widziałem, że powracają przeważnie do kraju ci, którzy pozostawili tam za sobą własność ziemską. Emigranci z miast podnoszą odrazu swoją stopę życiową, roztasowują się w Ameryce, o powrocie do kraju nie myślą i stanowią właśnie żywioł czynny, osiadły, kierowniczy w tutejszych koloniach polskich.

Ten żywioł jest z nowej ojczyzny zadowolony; o starym kraju mówi z niejakim przekąsem, chwali wszystko bezwzględnie, co jest amerykańskie, ale ma pewne silne, abstrakcyjne przywiązanie do rzeczy polskich, oparte zwłaszcza na nienawiści do wrogów polskości. Z łona jego powstaje nowa inteli-

gencya: lekarze, adwokaci, urzędnicy, zrodzeni już w Ameryce, tu ustosunkowani, władający językiem angielskim, doskonale reprezentujący nasz naród wobec społeczeństwa amerykańskiego, które pierwsze pokolenie emigrantów, nieoświecone, nie umiejące po angielsku, mocno lekceważyło. Po za tą inteligencyą, już tu zrodzoną, wobec braku przedstawicieli pracy umysłowej w łonie samej emigracyi, rolę przewodników ludu polskiego w Ameryce odgrywają księża, i oni też mają faktycznie wpływ największy.

Robotnik polski w fabrykach tutejszych jest bardzo ceniony, jako trzeźwy, wytrwały, akuratny, a przedewszystkiem jako najtańszy. Nie znając bowiem na początku języka, uderzony wysokością nawet najniższych cen zarobkowych, przyjmie takie warunki, jakie mu dają. Nieznajomość języka trzyma go także dłużej na danem miejscu, obawia się bowiem wszelkiej zmiany.

Pracowitość zaś i akuratność jego odbija silnie od ogólnego typu robotnika tutejszego, który wbrew przesądom, rozpowszechnionym w Europie, nie jest bynajmniej wysoki.

Nasuwa się pytanie, dlaczego Polacy przy tak wielkich zaletach pracowitości i oszczędności dostarczają tak mało przykładów owych karyer amerykańskich, owych „self made man", którzy dochodzą tu bądź do stanowisk najwyższych, bądź też do majątków największych? Dwie są przyczyny kardynalne. Polacy z trudnością i niechętnie uczą się języka angielskiego i odznaczają się wogóle l e n i s t w e m w stosunku do dalszej oświaty i wykształ-

cenia, skoro ten język już posiedli. Rodacy nasi nie uczą się wcale albo uczą się bardzo mało na kursach wieczornych, stanowiących wrota do karyery życiowej dla robotników i rzemieślników. Nie korzystają też z książek i bibliotek publicznych; przypominam przykład biblioteki w Bostonie.

Do tych dwóch kardynalnych przyczyn słabości ekonomicznej żywiołu polskiego dorzuciłbym trzecią: pijaństwo. Zbyt krótki czas i mała ilość obserwacyi własnych nie pozwala mi twierdzić stanowczo, a zdania Polaków, z którymi o tem mówiłem, są podzielone: na wschodzie podnoszono pijaństwo, jako wadę narodową Polaków, w Chicago cytowano mi ich wstrzemięźliwość, jako zaletę. Wstrzemięźliwość jest rzeczą względną: Polacy zyskują naturalnie na porównaniu z takimi koronnymi, urodzonymi pijakami, jakimi są Irlandczycy, ale to znaczy niewiele. Ilość zaś szynków na wszystkich rogach i nie rogach w dzielnicy polskiej w zestawieniu z wysokim podatkiem a taniością trunków nasuwa na myśl tak olbrzymie ilości spożycia alkoholu, że wstrzemięźliwość polska wydaje się wątpliwą, a wątpliwość tę potwierdza wielka rola szynkarzy w życiu społecznem Polonii amerykańskiej. W każdym razie mogę tylko życzyć moim rodakom amerykańskim, aby rozwinął się u nich jak najprędzej i jak najpotężniej ruch antyalkoholiczny.

Takiem jest tło obrazu, na którem w dalszym ciągu wystąpią różne szczegóły.

ROZDZIAŁ XIII.

Statystyka.

Niepodobna podać liczby polaków w Stanach Zjednoczonych wedle statystyki urzędowej, jak również niepodobna z tego źródła określić, ilu polaków rocznie przybywa ze „starego kraju“. Jakkolwiek urzędowe papiery immigracyjne posiadają obydwie rubryki „przynależność państwowa“ i „narodowość (nationality)“ to jednak urzędnicy zapisują zwykle dane w obu rubrykach jednakowe; musiałem dużo narobić hałasu, zanim mnie np. zapisano, jako polaka. Dzięki temu olbrzymia większość przybywających tu polaków figuruje w wykazach urzędowych, jako „Rosyanie“, „Niemcy“ lub „Austryacy“.

Przy spisach ludności urzędnicy zapisują zwykle każdego, gdzie się urodził. Wielu mało uświadomionych narodowo polaków odpowiada w „Rosyi”, w „Prusach” lub w „Austryi” i zostają do odpowiedniej narodowości zaliczeni. Drugie pokolenie Polaków, już zrodzone w „nowym kraju” bywa wedle tej metody zapisywane, jako „Amerykanie”, pomimo, że w większości zachowuje język i obyczaj narodowy. Dzięki tym warunkom ostatni spis z r. 1900, podaje liczbę Polaków na 385,595. Liczba to śmiesznie mała, sześćkroć mniejsza od rzeczywistości.

Brakom statystyki urzędowej zaradził ks. Wacław Kruszka w swej dziewięciotomowej „Historyi Polskiej w Ameryce” (t. I str. 90—141). Dane swoje zbierał on drogą prywatnych informacyi, zape-

wne od proboszczów parafii polskich, a nawet przeciwnicy książki i autora przyznają, że dane jego są możliwie ścisłe. Autor podaje nietylko liczby Polaków należących do parafii polskich, które to liczby byłyby niższe od rzeczywistych, ale wszystkich polaków zamieszkałych na terytoryum danej parafii. Wiarogodność danych swoich stwierdza podawanemi w tekście oświadczeniami piśmiennemi burmistrzów miast, proboszczów i biskupów. Za tę ciężką, mozolną i bezinteresowną pracę należy się ks. Wacławowi Kruszce (proboszczowi w Ripon, Wisconsin), głębokie uznanie i wdzięczność. Ułożył on pierwszą i jedyną dotąd statystykę Polaków w Stanach Zjednoczonych [1]).

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak podać tu liczby, przez niego zebrane. Są one bardzo szczegółowe, powtórzyć ich więc w całości nie mogę. Podane są najmniejsze osady polskie we wszystkich stanach, wedle dyecezyi. Ograniczę się więc tylko podaniem liczby Polaków w poszczególnych stanach oraz szczegółowych liczb z tych osad, gdzie rodacy nasi stanowią poważną mniejszość:

	Stan	liczba polaków
1.	Illinois	300,000
2.	Wisconsin	150,000
3.	Minnesota	80,000

---

[1]) Statystyka ta jest zresztą w tej chwili przestarzała. *Kuryer Polski* z końca roku 1908 podaje liczbę Polaków w Stanach na 4 miliony. Cyfra to zapewne nieco przesadzona.

4.	North Dakota	16,600
5.	South Dakota	9,950
6.	Nebraska	29,000
7.	Iowa	4,000
8.	Missouri	28,700
9.	Kansas	8,000
10.	Arkansas	5,000
11.	Louisiana	1,000
12.	Oklahoma	1,000
13.	Indian Territory	1,000
14.	Texas	19,750

Wszystkie te stany znane są pod nazwą „Zachodu". Na Zachodzie więc mamy 654,000 Polaków.

15.	Montana	2,100
16.	Wyoming	1,000
17.	Colorado	3,000
18.	Idaho	300
19.	Utah	500
20.	Washington	3,000
21.	Oregon	2,901
22.	California	6,000
23.	Nevada	200
24.	Terytorjum Arizona	175
25.	„ New Mexico	500
26.	Alaska	100
27.	Na wyspach Hawai	500

Powyższe dwanaście stanów noszą miano „dalekiego czyli dzikiego Zachodu". W tej części Ameryki północnej mamy więc 21,176 Polaków.

28.	Michigan	140,000
29.	Indiana	33,000
30.	Ohio	80,000
31.	Pennsylvania	350,000
32.	New-York	340,000
33.	New Jersey	70,000
34.	Maryland	25,700
35.	Delaware	8,000
36.	Okręg Columbia	800
37.	West Virginia	3,000

Na wschodzie, czyli w części kraju położonej na wschód od Chicago, mieszka 1,050,500 Polaków.

38.	Virginia	1,000
39.	Kentucky	4,000
40.	Tennesee	2,000
41.	North Carolina	200
42.	South Carolina	600
43.	Missisippi	500
44.	Alabama	700
45.	Georgia	1,000
46.	Florida	200

Liczba Polaków w Stanach południowych wynosi 10,200.

47.	Massachussets	80,000
48.	Rhode Island	9,500
49.	Connecticut	60,100

W Nowej Anglii liczba Polaków wynosi 149,600. Wreszcie w Północnych Stanach:

50.	New Hampshire	5,000
51.	Vermont	2,000
52.	Maine	3,000

Razem na północy 10,000 Polaków.

Zestawienie.

Na Zachodzie	654,000	Polaków
Na dzikim Zachodzie	21,176	"
Na wschodzie	1050,500	"
W Stanach południowych	10,200	"
W Nowej Anglii	149,600	"
Na północy	10,000	"
Ogółem	1.895,476	"

Ks. Kruszka podaje okrągłą cyfrę ludności polskiej w Stanach Zjednoczonych na **1.903,000**; polacy tworzą **810** osad polskich i posiadają **517** kościołów i **546** księży polskich.

Terytorjalne rozmieszczenie Polaków w Stanach rzuca odrazu światło na rodzaj ich zajęcia: liczby wzrastają w miarę jak przechodzimy z okolic rolniczych i bardziej dzikich, do okręgów przemysłowych. Najmniej polaków mamy na rolniczem południu, na dzikim zachodzie i na dzikiej północy; najwięcej w stanach bardzo przemysłowych: Pennsylvania (wielkie kopalnie węgla i wielkie huty żelazne). New-York, wreszcie Illinois (tu głównie mieszkają polacy w Chicago, gdzie pracują w wielkich stałowniach, w fabryce wagonów Pullmanowskich i innych zakładach przemysłowych). Jako rolników spotykamy Polaków przeważnie w Stanach Wisconsin, Minnesota i Texas, wszelkie jednak znaczne cyfry pochodzą jedynie z miast.

Całe Stany Zjednoczone bez wysp mają 3.615,409 mil kw. obszaru (mila kw. ang. = 6,4 klm. kw.), na której to przestrzeni mieszka 75,986,819 ludzi,

czyli że jeden Polak przypada na 40 mieszkańców; wyznaniowo przypada jeden Polak na sześciu katolików, liczba bowiem tych ostatnich w Stanach wynosi 12 milionów.

Stosunki te zmieniają się, jeżeli uwzględniony powyższy podział na zachód, wschód i dziki Zachód. Na wschodzie, zaludnionym najgęściej (na 769,035 mil kw. mieszka 48,132,309 ludzi, a w tej liczbie 1,227,000 Polaków), przypada na dziesięć mil kw. szesnastu polaków. Na olbrzymim dzikim Zachodzie (1,788,419 mil kw., 4,032,436 mieszkańców, 120,000 Polaków), przypada jeden Polak na 15 mil kw. Na Zachodzie wreszcie przypada jeden Polak na półtorej mili kw. (obszar 1,067,955 mil kw., zaludnienie 23,792,074; liczba Polaków 644,000).

Przypatrzmy się z kolei większym osadom polskim.

Chicago miasto liczy około 200,000 Polaków, a razem z najbliższą okolicą 238 tys. Polacy tworzą tu liczne skupienia terytoryalne w północno zachodniej stronie miasta, w południowej, w osobnem South Chicago i w osadzie fabrycznej Pullmana. Skupienia te noszą nazwy, pochodzące od nazwy parafii; mamy tu więc Stanisławowo (45,000), Trójcowo (15,000), Wojciechowo (15,000), Jadwigowo (10,000), Kantowo (12 tys.) itd. W dzielnicy Bridgeport mieszka 10 tys. Polaków, w Avondale 1,500, w South Chicago 27,000, w osadzie Pullmana 1,000. Takie terytoryalne skupienia Polaków umożliwiają wydawanie pism peryodycznych, tworzenie stowarzyszeń, utrzymywanie szkół polskich, słowem sta-

nowią ważne ośrodki kulturalne. Tylko w takich warunkach mogą Polacy wywierać pewien wpływ na sprawy miejskie i polityczne. Tam zaś, gdzie Polacy, chociaż liczni, rozrzuceni są na olbrzymich przestrzeniach (jak np. w New-Yorku i Brooklynie, gdzie mamy około 50,000 Polaków), kolonie ich nie mają prawie żadnego znaczenia narodowego.

Drugiem miastem polskiem jest Buffalo, (N. Y.), liczące 71 tysięcy Polaków, a wraz z najbliższą okolicą 98,530; tu zaznaczyć trzeba, że chociaż Polacy stanowią większość katolików w dyecezyi (ogólna liczba 156,000) posiadają tylko 30 księży na 215.

Z kolei idzie Milwaukee (Wisconsin); 61 tysięcy Polaków, przeważnie z pod zaboru pruskiego; znaczna między nimi liczba ludzi zamożnych. Polacy mieli licznych przedstawicieli w urzędach miejskich; nawet senatorem stanowym, czyli członkiem izby wyższej ciała prawodawczego stanu Wisconsin był Polak, p. Michał Kruszka, wydawca *Kuryera Polskiego* w Milwaukee.

Następuje potem New York z Brooklynem (N. Y.) 48,000 Polaków, Detroit (Michigan) 40,000; ważny ośrodek kulturalny ze względu na istnienie tu kollegium i seminaryum polskiego. Pittsburg (Pennsylvania) 32,000 Polaków; Filadelfia (Pennsylvania) 27,000; Cleveland (Ohio) 27,700, Baltimore (Maryland) 21,700; South Bend (Indiana) 19,000; Toledo (Ohio) 15,000; Jersey City (New Jersey) 10,000 itd. Najmniej Polaków jest w Alasce, gdzie jakaś setka rozproszonych pracuje po różnych kopalniach złota.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach i wedle jedynej dotąd statystyki siła liczebna żywiołu polskiego w Stanach Zjednoczonych. Istotnie więc Polonia w Ameryce zasługuje w zupełności na miano czwartej dzielnicy Polski.

Zmiany w tej cyfrze mogą zachodzić w kierunku powiększenia jej przez napływ nowych immigrantów Polaków ze „starego kraju", lub w kierunku ujemnym przez powolną amerykanizacyę Polaków, assymilowanych przez nową ojczyznę. Nikt powiedzieć nie zdoła, czy się obie te cyfry równoważą, która przeważa i czy bilans przyszłości wypadnie na korzyść lub na niekorzyść polskości.

Ale jedno powiedzieć trzeba: społeczeństwo polskie w Ameryce stawia skutecznie tamy amerykanizacyi—przez kościół polski, przez szkołę polską i przez stowarzyszenia polskie. Wszystkie te trzy czynniki rozpatrzymy kolejno, co nam dopomoże do wyciągnięcia możliwie zbliżonych do rzeczywistości wniosków.

ROZDZIAŁ XIV.

Kościół.

Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych jest zupełnie wolny, zupełnie niezależny, zupełnie oddzielony od państwa. Nasuwa się tu porównanie z ostatnią reformą we Francyi. Gdy tam wolność oddzielonego kościoła jest fikcyjna, ograniczona całym szeregiem środków policyjnych tradycyj-

nie centralistycznego państwa, Stany, wierne swoim zasadom wolności prawdziwej, nie krępują w niczem stowarzyszeń wyznaniowych.

Cała organizacya katolicyzmu w Ameryce Północnej opiera się na tych zaregestrowanych stowarzyszeniach, które odpowiadają naszym parafiom. Wypływa stąd jedna bardzo ważna konsekwencya, mianowicie charakter narodowy, nie terytoryalny, zrzeszeń katolickich. I dlatego, mimo zasadniczej powszechności Kościoła katolickiego, tu można i trzeba mówić o kościele polskim, irlandzkim, niemieckim, włoskim i t. d. Bo w rzeczy samej na tem samem terytoryum, w tej samej dzielnicy danego miasta spotykamy nieraz bezpośrednio obok siebie budynki kościelne polskie, niemieckie i irlandzkie.

Każde stowarzyszenie katolickie, inaczej parafia, jest właścicielem gruntu, budynków, na nim położonych, zwykle kościoła, plebanii i szkoły. Ponieważ przeważnie początkowo parafia posiadała małe fundusze, albo wcale ich nie miała, więc grunt został nabyty na kredyt i na kredyt również postawiono budynki. Ale instytucye hipoteczne udzielają parafiom kredytu tylko za poręczeniem biskupa danej dyecezyi, który też później, jako gwarancyę, posiada w swym ręku tytuł własności, t. zw. „dead" na dany plac i położone na nim zabudowania.

Ten stosunek, bardzo materyalny i najbardziej charakterystyczny dla warunków amerykańskich, określa bardzo wielką władzę biskupów. Określa on również stosunek władzy świeckiej do gmin wyznaniowych. Wyobraźmy sobie np., że w parafii amerykańskiej wybuchła secesya, herezya w rodzaju

maryawickiej. Secesyoniści mają za sobą większość parafian, chcą prawowiernym odebrać kościół i pragną to uczynić siłą. Wówczas proboszcz, względnie biskup, może zażądać pomocy władzy świeckiej przeciwko napastnikom, nietylko jako burzycielem spokoju publicznego, ale jako czyniącym zamach na własność stowarzyszenia, opartą na poręczeniu biskupa. Państwo występuje tu przedewszystkiem, jako obrońca cywilnego prawa własności.

Władza biskupa jest w tym kraju istotnie olbrzymia. Ciał kolegialnych, w znaczeniu naszych kapituł i konsystorzów, złożonych z dożywotnio mianowanych kanoników i prałatów, Ameryka nie zna. Obok biskupa funkcyonuje tylko ciało doradcze, rada t. zw. „konsultorów", mianowanych przez biskupa samego z pośród księży jego dyecezyi i tylko na trzy lata; biskup może się zupełnie nie liczyć z uchwałami tej rady. Dochody dyecezyi powstają z wyznaczanego corocznie przez biskupa stałego podatku od każdej parafii.

W razie opróżnienia katedry biskupiej, zbierają się biskupi danej prowincyi, których Stany Zjednoczone posiadają czternaście, a na czele każdej z nich stoi arcybiskup, i wyznaczają trzech kandydatów na daną katedrę; osobno zbierają się t. zw. „proboszczowie nienaruszalni" wraz z konsultorami i wybierają znowu trzech kandydatów. Wszystkie te kandydatury idą do Rzymu, który może mianować biskupa, zupełnie nie licząc się z niemi, co się też zdarza dość często. Nienaruszalnymi proboszczami nazywają się ci, których długi parafialne zostały już spłacone, innemi słowy, których stowarzy-

szenie wyznaniowe jest istotnym właścicielem posiadanych nieruchomości. Jest to także szczegół bardzo dla amerykańskich stosunków charakterystyczny.

Przypatrzmy się teraz powstawaniu i funkcyonowaniu parafii polskiej. W danej miejscowości jest Polaków dość dużo, aby sami mogli utrzymać kościół. Zwracają się wtedy do biskupa z prośbą o utworzenie parafii polskiej. Zależnie od dyecezyi, od osoby biskupa pozwolenie takie uzyskać jest łatwiej lub trudniej. Z chwilą uzyskania pozwolenia zostaje mianowany proboszcz-Polak.

Proboszcz ten zastaje paruset lub kilkuset wiernych i więcej nic zgoła. Zwołuje ich więc na zebranie lub obchodzi osobiście wszystkich, aby określić budżet parafii. Składają się na niego podatki roczne, płacone przez rodziny, opłata za miejsca siedzące, opłata za wejście do kościoła (zwykle 10 ct. = 20 kop.), dobrowolne składki na tacę podczas nabożeństwa i t. d.

Tak powstaje budżet parafii, ale prócz tego trzeba zakupić plac, wystawić kościół, plebanię, szkołę. Na ten cel zbierane są składki nadzwyczajne, gdyby jednak chcieć czekać na to, zanim z tych centów zbiorą się dziesiątki tysięcy dolarów, dotąd kościołów polskich nie byłoby wcale. Tu przychodzi z pomocą biskup, któremu proboszcz przedstawia szkic budżetu i stan parafii; za jego poręczeniem otwierają się kasy banków, zakupiony zostaje grunt, wznoszą się na nim mury budynków. Do budżetu wydatków przybywa opłata procentów i powolna amortyzacya długu. Proboszcz musi być do-

skonałym i energicznym administratorem, aby związać koniec z końcem, aby módz opłacić procenta i spłacać powoli długi. W zasadzie powinien mu w tem dopomagać dozór kościelny, t. zw. „trustees" (zaufani), wybierani przez parafian, opłacających podatek kościelny. Ale w praktyce w parafiach polskich owi „zaufani" nie odgrywają prawie żadnej roli. Parafią rządzi absolutnie proboszcz.

Pensye proboszczów można przeciętnie określić na sto dolarów miesięcznie, wikaryuszów zaś na pięćdziesiąt; do tego dochodzi mieszkanie, opał, światło i akcydensy, na ogół znacznie wyższe, niż w Europie. Położenie materyalne duchowieństwa polskiego w Stanach Zjednoczonych można więc uważać za bardzo pomyślne. Ale równocześnie przyznać trzeba, że i praca jest nieskończenie większa, niż w Europie. Przedewszystkiem parafie są większe, dalej parafianie są gorliwszymi katolikami, niż w „starym kraju", co wpływa na zwiększenie ilości spowiedzi i innych obowiązków religijnych, wreszcie proboszcz jest z natury rzeczy pośrednikiem w wynajdywaniu zajęć, nieraz w korespondencyi z krajem i t. d.; ostatnie czynności wzmagają się tam, gdzie zrzeszenia polskie są mniejsze i gdzie poziom kulturalny emigrantów polskich jest niższy.

Może się wydać dziwnem czytelnikom, że tak śmiało wydaję świadectwo większej gorliwości Polakom-katolikom w „nowym kraju". Muszę to jeszcze raz podkreślić i wytłómaczyć. We wszystkich dzielnicach dawnej Polski Kościół katolicki jest utrzymywany przez państwo, innemi słowy, wszyscy, nie odczuwając tego, bez udziału woli własnej,

płacą podatki religijne. Kto jest ochrzczony w wierze katolickiej, figuruje w spisach parafialnych, jako katolik, bez względu na to, czy z biegiem lat ochłódł, zobojętniał lub stał się zgoła wrogiem religii; więc spisy te są nieraz poprostu fikcyjne. W Ameryce inaczej: kto jest zapisany do gminy katolickiej, ten nietylko spełnia praktyki religijne, ale *chce* je spełniać, skoro ze swoich niewielkich zarobków decyduje się płacić względnie wysokie podatki i ofiary; skoro raz już płaci, pragnie jaknajbardziej korzystać z kościoła, z nabożeństw, kazań, spowiedzi i t. d. Zupełna wolność Kościoła, jest najlepszym sprawdzianem gorliwości w wierze.

Te wszystkie olbrzymie piękne kościoły polskie, oświetlone elektrycznie, ogrzewane centralnie, z samemi miejscami siedzącemi, w Chicago, w Milwaukee, w Detroit, w Buffalo i t. d. powstały z ciężko zapracowanych groszy ludu polskiego. Są tacy, którzy uważają, że w stosunku do sił ekonomicznych żywiołu polskiego w Ameryce kościoły te są za piękne i za kosztowne. Może ze stanowiska ekonomicznego zarzuty te są słuszne; trzeba się jednak liczyć z psychologią ludu wierzącego, który pragnie mieć ładne kościoły; wiemy przecież, że i u nas, w „starym kraju", popularność proboszcza mierzy się nieraz jego usiłowaniami w kierunku wybudowania nowego ładnego kościoła lub odnowienia starego, jego dbałością o przybytek Boży. Ale niewątpliwie te wszystkie piękne kościoły mają i stronę ujemną, mianowicie są obciążone długami, olbrzymie nieraz procenty cisną barki parafian, a tytuły własności spoczywają w ręku biskupów. Niema mię-

dzy Polakami ludzi bardzo zamożnych, którzy nieraz sypnęliby hojną ofiarą, dlatego też poczęści długi spłacają się wolno, a wśród polskiego duchowieństwa jest bardzo niewielu proboszczów nienaruszalnych.

Kościół katolicki jest wśród Polonii amerykańskiej potęgą olbrzymią. Jest to fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości. Kilka na to składa się przyczyn. Na pierwszym planie postawić wypadnie szczerą, gorącą wiarę ludu naszego, który stanowi treść emigracyi polskiej. Dalej, trzeba pamiętać o tem, że dawniej wobec zupełnego, a i teraz jeszcze wobec znacznego braku inteligencyi, księża z natury rzeczy byli jedyną inteligencyą tego ludu, jego naturalnymi przewodnikami i są nimi jeszcze poczęści dzisiaj. Wreszcie karna i ścisła organizacya Kościoła katolickiego dzięki tym właśnie przymiotom wszędzie zajmuje wybitne stanowisko.

Potęgę swoję rzucał Kościół polski na szalę walk politycznych amerykańskich i wewnętrznych polskich, a czynił to z rozmaitym skutkiem, o czem będzie mowa w swoim czasie. Tu tylko trzeba stwierdzić fakt niezbity, że jest on twierdzą i ostoją polskości, jedną z najważniejszych tam, stawianych amerykanizacyi żywiołu polskiego. A dzieje się tak dlatego, że na najniższym stopniu uświadomienia narodowego ludu, a więc i emigrantów naszych, pojęcie katolika jest nierozerwalnie złączone z pojęciem Polaka. A potem, kiedy na emigranta silnie poczyna oddziaływać otoczenie, słowo polskie, słyszane na kazaniu, pieśń polska w kościele, modlitewnik polski są temi nićmi, wiążącemi go jesz-

cze z narodowością ojców i dziadów, którą może radby już porzucić. Kościół jest prócz tego jednem z ogniw, z węzłów, jednym z kształtów zrzeszeń i stowarzyszeń, które tylko w swej splątanej różnorodności i różnolitości tworzą gąszcz, splot, hamulec dla fali amerykanizacyjnej.

Mylnem byłoby twierdzenie, że cała masa 546 księży polskich, osadzonych na 517 parafiach, jest zupełnie jednolitą.

Pomijając fakt, że księża ci należą nieraz do różnych organizacyi polskich, co już stwarza pewną rywalizacyę, istnieją jeszcze antagonizmy, że tak powiem, wewnętrzne. Najważniejszy — to pospolita wszędzie niechęć księży świeckich do zakonników, wyrażająca się tu przeważnie w niechęci do księży Zmartwychwstańców, którzy są w Chicago taką potęgą, jaką jest Kościół katolicki w całej Polonii w istotę tej niechęci wchodzić nie mogę i nie chcę— wystarczy ją zaznaczyć. Daje się też zauważyć pewna ukryta, nazewnątrz prawie nie ujawniana niechęć starszego pokolenia księży, przeważnie emigrantów ze starego kraju, do młodszego, urodzonego i wychowanego już w Ameryce. Jest to właściwie różnica dwóch typów. Ze starszych księży niejeden musiał opuścić „stary kraj" z powodu zbyt burzliwego temperamentu; podobni oni są do naszych proboszczów wiejskich: żywi, gwałtowni, hałaśliwi, nieraz brutalni i prości, przedstawiają się, jako ludzie walki, kochający i nienawidzący głęboko, nieprzejednani, pamiętający dawne spory, nie mogący się pogodzić z nowymi, coraz to innymi warunkami życia polskiego, ze zmiejszeniem wpływu

swego na wszystkie strony życia społecznego, z wyjątkiem czysto religijnych. Młodzi duchowni, z których dziś już niejeden samodzielnie pracuje na probostwie, zbliżają się zewnętrznie bardziej do typu anglosaskiego: są spokojni, zrównoważeni, raczej flegmatyczni, ostrożni i rozważni w mowie; nie znają tradycyi dawnych gwałtownych bojów stronniczych i skutkiem tego różne bieżące sprawy polskie, jak i istniejące stronnictwa, oceniają na zimno, bardziej bezstronnie i bez gniewu. I jedni i drudzy zresztą wnoszą w życie zalety i wady, właściwe narodowi, którego są kością z kości i krwią z krwi, jedni i drudzy wysoko dzierżą sztandar polskości, a wszystkie usiłowania swoje kierują ku powstrzymaniu amerykanizacyi Polaków wszelkimi możliwymi środkami.

Amerykanizacya ta różnemi kroczy drogami: Kościół katolicki w Stanach, zwłaszcza jego wyższa hierarchia, staje się nieraz świadomie jej organem. Na tem podłożu zrodziła się głośna w swoim czasie sprawa biskupstw polskich w Ameryce.

Wyższa hierarchia Kościoła katolickiego składa się tu przeważnie z Irlandczyków, w nieznacznej części z Niemców i Włochów; Polaków biskupów niema wcale; wśród księży polskich jest bardzo mało konsultorów i proboszczów nienaruszalnych; nawet w zakresie niewinnych odznaczeń, jak np. tytułów prałatów papieskich, Polacy są stale upośledzani; z przywożonych zwykle przez biskupów z Rzymu kilkunastu nominacyi, żadna prawie nie dostaje się duchownym polskim. Emigracya polska wzrasta szybko, pierwsi księża nie znali języka angielskiego,

do dziś dnia wielu z nich nie zna go dokładnie; były to zapewne najważniejsze przyczyny pomijania Polaków, zgoła nie ustosunkowanego do ich siły liczebnej wśród ogółu katolików. Były najważniejsze, ale dziś niemi nie są, i inne teraz działają sprężyny.

Irlandczycy mogą zrozumieć i rozumieją przywiązanie do ziemi ojczystej; trudno od nich wymagać, aby rozumieli przywiązanie do odrębnego własnego języka, skoro sami mówią językiem odwiecznego wroga, znienawidzonego Sassenacha. Dlatego to zapewne stają się nieświadomemi i świadomemi narzędziami amerykanizacyi, nie pojmując, że utrata języka własnego szeroką toruje jej drogę. Do tego dodać należy prawie nieuniknione na pewnym poziomie władzy dążenia unitarne, centralistyczne, wyrażające się tu w chęci nadania Kościołowi katolickiemu w Stanach Zjednoczonych jednolitego zewnętrznego piętna angielskiego. Niepodobna też pominąć właściwej dostojnikom niechęci w dzieleniu się władzą, usiłowania utrzymania jej w swojem najbliższem otoczeniu jednoplemieńców.

Dążności amerykanizacyjne biskupów występują bardziej wyraźnie na Zachodzie, gdzie Polacy są silniejsi, a zrzeszenia ich liczniejsze; im bardziej z Zachodu posuwać się będziemy na Wschód, tem dążności te występują słabiej w miarę coraz mniejszego znaczenia kolonii polskich; jest to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Rzeczone usiłowania wyrażają się przedewszystkiem w niechęci wyodrębniania osobnych parafii polskich tam, gdzie Polacy wtłoczeni są w ramy parafii innonarodowych. Znane są

wypadki, kiedy do takich parafii wysyłano wikaryuszów nie Polaków, lecz Irlandczyków, mówiących bardzo słabo i bardzo śmiesznie po polsku, oczywiście powolnych narzędzi amerykanizacyi. Biskup w Detroit np. niechętnem okiem patrzy na samodzielne seminaryum polskie; w St. Francis, gdzie jest bardzo dużo kleryków-Polaków, trzeba używać wielkiego nacisku, aby wywalczyć obsadzenie paru katedr przez Polaków; zdarza się nawet, że biskupi zaledwie tolerują szkółki polskie przy kościołach. Słyszałem również, że tu i owdzie kuszono księży polskich obietnicami odznaczeń, jeżeli do kościołów swoich będą powoli wprowadzali język angielski, i jestem przekonany, że gdyby ogół księży zgodził się na amerykanizacyę kościołów polskich, nie minęłaby ich jedna czy druga nagroda, nawet w postaci mitry.

Taki stan rzeczy musiał koniecznie wywołać wśród ludności polskiej reakcyę, wyrażającą się w wymaganiu obsadzenia kilku katedr biskupich przez Polaków. Ale rozwiązanie tej kwestyi bynajmniej łatwe nie jest. Kościół katolicki ma cechy powszechności i biskupów narodowych nie zna; gdyby Rzym mianował osobnego biskupa czy biskupów dla Polaków, musiałby toż samo uczynić dla Niemców i innych narodowości, a to jest niemożliwe. Obsadzenie paru biskupstw, już istniejących, przez Polaków, którzy stanęliby wtedy na czele wszystkich wiernych danej dyecezyi, jest też nieraz niemożliwe z powodu braku dziś jeszcze kandydatów, władających swobodnie obcymi językami. Rozwiązanie kwestyi zdawałoby się leżeć w mianowaniu

koadyutorów biskupich Polaków w tych dyecezyach, gdzie znaczną część wiernych stanowią Polacy.

Ale i w tej sprawie niema jedności wśród naszych rodaków w Ameryce. W niektórych kołach duchownych, słyszałem zaprzeczenia faktu amerykanizacyi przez biskupów; przeważało tam zdanie, że biskupstwa polskie w Ameryce są niepotrzebne; cytowano mi agitacyę w tym kierunku, jako wyraz ambicyi kilku księży, którzy marzą o mitrach. Muszę przyznać, że argumenty te mnie nie przekonały. Bardziej już uzasadnioną wydaje mi się obawa ludzi świeckich, że biskup-Polak musiałby z konieczności należeć do jednego z istniejących stronnictw i na szalę walki partyjnej rzucałby powagę swojej mitry, niecąc nowy zamęt i wzmagając siłę sporów, które chwilowo znajdują się w okresie łagodniejszym i spokojniejszym. Bo nikt nie przewiduje możliwości przysłania biskupa-Polaka ze „starego kraju"; byłby on bezwarunkowo przedmiotem niechęci ze strony wszystkich, zarówno świeckich, jak i duchownych, bardzo tu zazdrosnych o swoje prawa, przywileje, o swoją znajomość stosunków [1]).

Wypadałoby teraz powiedzieć słów kilka o t. z. Kościele niezależnym polskim w Ameryce. Jednakże nic o nim prawie powiedzieć nie mogę. Bezpośrednich informacyi ze źródła nie mam, a to,

---

[1]) W r. 1908 sprawa ta została rozwiązana w myśl życzeń Polaków amerykańskich: biskupem dla Polaków w dyecezyi Chicagoskiej został mianowany ks. Rhode, jeden z proboszczów miejscowych. Działalność jego zaznaczyła się już pomyślnie w kilku wypadkach.

co o nim słyszałem od ludzi świeckich, których bynajmniej o klerykalizm posądzać nie można, nie zachęcało mnie do bliższego zbadania tej kwestyi. W ich oświetleniu Kościół niezależny jest dziełem kilku ambitnych jednostek z pośród kleru, w ten czy w inny sposób poróżnionych z hierarchią katolicką, które osobistymi wpływami pociągnęły za sobą część, niewielką zresztą, świeckich. Jak dalece ci się w sprawach teologicznych nie oryentują, dowodzi fakt, że, kiedy proboszcz niezależny najwspanialszego kościoła w Detroit nawrócił się przed śmiercią, nawróciła się wraz z nim cała parafia i z dnia na dzień z niezależnej stała się rzymsko-katolicką. Widać stąd wyraźnie, że nie mamy do czynienia z poważnym żywiołowym ruchem ludowym, który zasługiwałby na baczniejszą uwagę. Muszę też dodać, że parę pism „niezależnych", które miałem w ręku, odznaczały się taką gburowatością tonu, takim doborem wymysłów, że są jaskrawym dowodem nizkiego poziomu kulturalnego wyznawców tego Kościoła, który pod tym względem można uważać tylko za wyraz uwstecznienia obyczajowego. Z tych pism najniższego typu wyprowadziłem wniosek, że szkoda poprostu czasu na badanie rozłamu, którego za poważny uznać niepodobna.

Tak się przedstawiają stosunki kościelne w Polsce amerykańskiej. Wspomniałem już, że Kościół jest tam potęgą; jednem ze źródeł tej potęgi jest fakt, że wszystkie szkoły polskie dotąd w jego znajdują się ręku.

ROZDZIAŁ XV.

Szkolnictwo.

To, co powiedziałem wyżej (w rozdz. IX), można uważać tylko za najogólniejsze sprowadzenie do wspólnego mianownika całego systemu szkolnego, który w różnych stanach jest nieraz bardzo różny. Cechuje go pewna zupełnie zrozumiała w danych warunkach chaotyczność, ale zarazem i godna najwyższej pochwały zupełna wolność nauczania. Państwo nie pyta tu, kto i jak uczy, byle uczył; wszelkie usiłowania oświatowe są cenione i szanowane, bez względu na to, skąd biorą początek. Dzięki temu zapewne, ilościowo rzecz biorąc, Stany Zjednoczone co do szkolnictwa zajmują pierwsze miejsce na świecie. Ta wolność nauczania sprawia, że bujnie, jak nigdzie, krzewią się tu szkoły prywatne, rywalizujące nieraz skutecznie z gminnemi, miejskiemi i stanowemi. Obok przedsiębiorców, którzy rozwijają swoją działalność głównie na polu nauczania średniego, utrzymując zakłady dobre, ale kosztowne i przeznaczone jedynie dla młodzieży zamożnej, współzawodniczą na tem polu wszystkie wyznania, wszystkie sekty, przeciwnicy wszelkich religii i wiele narodowości. Mamy więc szkoły niemieckie, katolickie i protestanckie, szkoły polskie, włoskie katolickie, szkoły żydowskie wyznaniowe i wręcz bezwyznaniowe, właściwie w kierunku antywyznaniowym, bo i szkoły publiczne są bezwyznaniowe w tem znaczeniu, że zupełnie nie uwzględniają wykładu religii.

Wyznaniowość szkół początkowych zbiega się przeważnie z ich charakterem narodowym. Zakładanie szkół parafialnych zostało zalecone przez amerykański kongres katolicki w Baltimore na tej zasadzie, że szkoła publiczna świadomie czy nieświadomie szerzy protestantyzacyę przez używanie podręczników, przesiąkniętych duchem protestanckim. Uchwała ta—to właściwie sankcya i uzasadnienie *a posteriori* rzeczy istniejących, szkoły parafialne zakładane były bowiem wiele lat przed kongresem w Baltimore, a jeżeli chodzi o szkoły polskie, to fundowanie ich było dyktowane w wyższym stopniu interesami narodowymi, aniżeli dbałością o interesy katolicyzmu; w każdym razie obydwa te czynniki oddziaływały równomiernie.

Szkoła parafialna katolicka, polska odpowiada programem swoim szkołom publicznym i zastępuje je, o ile chodzi o stosowanie się do przymusu szkolnego. Wzamian za to prawo publiczności, urzędowa władza szkolna rezerwuje sobie tylko nadzór, czy w dostatecznej mierze jest uwzględniany w szkole prywatnej wykład języka angielskiego.

Ilość szkół polskich w Stanach Zjednoczonych odpowiada mniej więcej liczbie parafii, ale jest od nich nieco niższa, nie wszędzie bowiem nieznaczna liczba parafian wystarczy, by utrzymać szkołę. Można oznaczyć liczbę szkół polskich na blizko pięćset, w których uczy się ogółem około czterdziestu tysięcy dzieci polskich; liczba ta jest raczej niższa, niż wyższa od rzeczywistej. W zasadzie—na każdym gruncie, zakupionym przez parafię polską, staje kościół, plebania, szkoła i dom dla sióstr.

Bo personel nauczający stanowią w tych szkołach siostry rozmaitych zakonów: Felicyanki, Franciszkanki, Zmartwychwstanki, Nazaretanki, Józefitki, Bernardynki, Notrdamki, które przygotowują się do działalności pedagogicznej w swoich domach macierzystych; czasem tu i owdzie obok nich uczy jeden lub dwóch nauczycieli świeckich. Będzie to zupełnie zrozumiałem, jeżeli się zważy, że szkoły nie byłyby w stanie utrzymać kosztownych nauczycieli świeckich, a siostry pobierają tylko 25—30 dol. miesięcznie; pomimo to nawet, w szkołach polskich rodzice muszą płacić po 50 ct. miesięcznie od dziecka, co już stanowi pewną sumę w małym budżecie szkoły.

Z drugiej strony wykwalifikowanych pedagogów Polaków w Ameryce niema, trzeba więc brać taki materyał nauczycielski, jaki jest. Ilość uczniów w tych szkołach wynosi od 40 do 3,600 w szkole św. Stanisława Kostki w Chicago, która była też największą szkołą ludową w całych Stanach Zjednoczonych. Koedukacya, istniejąca w szkołach publicznych, jest tu wykluczona: mamy osobne klasy dla dziewcząt i chłopców.

Co do wartości szkół polskich i ich materyału pedagogicznego zdania są podzielone: słyszałem często zdania świeckich, także pojedyncze duchownych, że poziom naukowy i pierwszych i drugiego jest dość nizki. Ale dodać zaraz muszę, że od wybitnego uczonego amerykańskiego, Stanley Halla, znakomitego badacza psychologii dzieci, słyszałem zdanie, że wogóle poziom naukowy uczni i nauczycieli jest w szkołach amerykańskich dość nizki, przeważnie z powodu braku dostatecznie wykwalifiko-

wanych i uzdolnionych fachowo pedagogów. Jeżeli więc oceniać będziemy szkoły polskie w Stanach, to trzeba koniecznie liczyć się z tą opinią. Braki, które istnieją w bogato uposażonych szkołach publicznych, muszą z konieczności występować wyraźniej w szkołach polskich.

Co do wrażeń osobistych, wyniesionych z całego szeregu zwiedzanych przez nas szkół, to oczywiście były one różne, jednak przeważnie na ogół dodatnie. Widziałem dzieci rozgarnięte, dość wysoko posunięte, w danych warunkach dobrze obeznane z rzeczami polskiemi. Nie jestem specyalistą, więc muszę tu przytoczyć bardziej kompetentne zdanie ks. rektora Gralewskiego, który miał o wiele większy materyał obserwacyjny ode mnie, on bowiem badał specyalnie szkoły, a ja musiałem zajmować się całokształtem życia amerykańskiego i polsko-amerykańskiego. Otóż w licznych rozmowach na tematy pedagogiczne ks. rektor stwierdzał niejednokrotnie, że szkoły polskie w Stanach naogół dobrze spełniają swoje zadanie.

Jeżeli mówię wogóle o wrażeniu dodatniem, to muszę przyznać, że jedna ze zwiedzanych przezemnie szkół polskich zaimponowała mi poprostu, a mianowicie szkoła św. Stanisława Kostki w Chicago, utrzymywana przez OO. Zmartwychwstańców.

Przyszedłem tam sam, zgoła niespodziewanie, i spędziłem kilka godzin na obchodzeniu klas i rozmowach z wybitnym kierownikiem szkoły, ks. Ładoniem. Prawie w każdej klasie zadawałem dzieciom pytania z arytmetyki, z historyi polskiej i t. d. na wyrywki i otrzymywałem odpowiedzi przytomne,

roztropne i świadczące o dobrym ich rozwoju umysłowym. Nawiasowo wtrącę, że nauka arytmetyki odbywa się tu bardzo praktycznie: dziecko nie zna cyfr abstrakcyjnych i odrazu rozwiązuje zadania na liczby mianowane i odrazu na wszystkie działania (dzielenie oczywiście tylko takie, które daje ilorazy całkowite), przyczem liczby przechodzi nauczycielka po kolei, a zadania obracają się około znanych malcom jabłek, orzechów, ilości rodzeństwa i t. d.

Wracam do rzeczy. Przedewszystkiem uderzył mnie w omawianej szkole doskonały, zdrowy, wesoły wygląd dzieci i ich stosunek do sióstr-nauczycielek, a zwłaszcza do ks. dyrektora. Wejście nasze do każdej klasy było hasłem ogólnej radości niekłamanej; po urzędowem powstaniu i powitaniu dzieciaki nie wołane wysypywały się na środek i zwierzały się swemu dyrektorowi z rozmaitych trosk domowych, zamiarów i t. d.

Jeżeli się zważy, że szkoła liczyła z górą trzy tysiące dzieci (niestety — liczyła, bo w tydzień po mojej bytności spaliła się prawie doszczętnie), to musi zdumiewać taka popularność i taki stosunek kierownika do wychowańców. Bo też dyrektor, ks. Ładoń, jest istotnie jednostką niepospolitą; poza pedagogiką wogóle i poza swoją szkołą nie widzi nic zgoła i niczem się nie interesuje: nawet, o dziwo, walki partyjne pozostawiają go obojętnym—nic dziwnego, że do wybornych dochodzi rezultatów. Trud jego na tem większe zasługuje uznanie, że należy do skrajnych pesymistów w poglądzie na przyszłość żywiołu polskiego w Ameryce. A tymczasem w jego szkole jaknajsilniej uderza puls polski. Powta-

rzam, pobyt w szkole św. Stanisława pozostawił w sercu mojem niezatarte wrażenie: widziałem rzeczy dobre i zacne.

Przejdźmy teraz do średnich szkół polskich, których mamy dwie: kolegium Św. Stanisława Kostki w Chicago, utrzymywane przez OO. Zmartwychwstańców, i kolegium przygotowawcze do seminaryum w Detroit, Mich., założone przez niezapomnianej pamięci działacza, ks. Dąbrowskiego, i utrzymujące się z własnych środków.

Uczniowie kolegium polskiego mają przed sobą zadania trudniejsze, niż uczniowie kolegium angielskiego, dodatkowo bowiem do przedmiotów angielskich muszą się uczyć przedmiotów polskich. W kolegium Św. Stanisława po polsku wykładana jest religia i język polski we wszystkich klasach (ks. Sobieszczyk) oraz historya polska w połączeniu z geografią przez dwa lata, wreszcie literatura polska (ks. wicerektor Zapała i ks. Kwiatkowski). Pozostałe przedmioty wykładane są w języku angielskim według programu i w zakresie zwykłych „college'ów" amerykańskich. Kolegium ma prawo udzielania stopni naukowych, które otwierają wychowańcom wstęp do uniwersytetów. Przy szkole istnieje internat za opłatą 200 dol. rocznie; uczniowie, nie należący do internatu, płacą po 3 dol. miesięcznie.

Kolegium liczy sześć klas, z których dwie przygotowawcze i cztery właściwe gimnazyalne; do pierwszej przygotowawczej przyjmowani są kandydaci, którzy ukończyli t. zw. piąty stopień szkół publicznych. Przy szkole istnieje biblioteka i czytelnia; wzorem innych zakładów średnich w Ame-

ryce uczniowie tworzą stowarzyszenia naukowe i sportowe, z których na wymienienie zasługuje „Kółko literackie im. Henryka Sienkiewicza", wydające dwutygodnik kolegialny, Kółko dramatyczne im. Al. hr. Fredry, orkiestra, chór, stowarzyszenie graczy w bilard, towarzystwa atletyczne, gry w piłkę nożną, ręczną i inne. Stowarzyszenia literackie i dramatyczne znajdują się pod kierunkiem profesorów.

Na czele kolegium stoi rektor, ks. Jan Kosiński, i wicerektor, ks. Władysław Zapała; profesorów Polaków jest sześciu, z których czterech ks. Zmartwychwstańców i dwóch świeckich. Abituryenci kolegium tworzą osobne stowarzyszenie, liczące 67 członków. W danej chwili liczy szkoła 166 uczniów.

Seminaryum polskie w Detroit założone zostało na mocy specyalnej bulli Leona XIII, wyjednanej przez ks. Dąbrowskiego, biskup miejscowy bowiem, mimo znacznej ilości Polaków i potrzeby duchownych polskich, nie chciał się zgodzić na utworzenie osobnego seminarym polskiego; jest to także przyczynek do amerykanizacyi przez Kościół, o której pisałem poprzednio.

Z chwilą, kiedy zamiar ks. Dąbrowskiego został urzeczywistniony, w 1885 r. wyłoniła się potrzeba stworzenia szkoły przygotowawczej dla seminaryum, mianowicie kolegium polskiego, i tym sposobem powstała instytucya mieszana świecko-duchowna, kolegium-seminaryum, istniejące obecnie. W zasadzie kolegium jest tylko szkołą przygotowawczą do seminaryum, ale wychowańcy jego su-

tan nie noszą i bynajmniej nie wszyscy wstępują po ukończeniu studyów do seminaryum; wielu z nich udaje się następnie do wyższych zakładów naukowych specyalnych, gdzie świadectwa dojrzałości kolegium polskiego mają na ogół bardzo dobrą markę.

W tej formie, w jakiej dziś istnieje, obejmuje zakład polski w Detroit dziesięć klas, z których pięć o kursie gimnazyalnym i pięć specyalnych studyów teologicznych. Właściwie jest to internat, w którym uczniowie płacą po 150 dolarów rocznie, ale w części świeckiej dopuszczani są eksterni, zresztą wyjątkowo tylko. Rektorem jest ks. Witold Buhaczkowski. Ciało pedagogiczne polskie kolegium stanowią profesorowie Romuald Piątkowski (autor tłómaczenia „Prolegomenów" Kanta, pisanego prześliczną polszczyzną; „Krytyka czystego rozumu" pozostaje jeszcze niestety w rękopisie, z powodu braku nakładcy), Józef Gardulski, Ignacy Machnikowski, Andrzej Piwowarski i Antoni Fijałkowski, którzy dzielą się rozmaitymi wykładami w zakresie gimnazyalnym; przed paru laty był tu profesorem i p. Tomasz Siemiradzki, dzisiejszy redaktor *Zgody*. Po angielsku wykładane są języki angielski, niemiecki i francuski, geografia i matematyka w wyższych klasach, reszta przedmiotów po polsku. Na kursach teologicznych wykłady prowadzone są po łacinie.

Kolegium i seminaryum liczy dziś ogółem 300 uczniów; liczba ich z każdym rokiem wzrasta, i zakład rozwija się nieustannie. Wydatki swoje pokrywa z opłat uczniów i teoretycznie ze składek, z o-

fiar dobrowolnych, zbieranych po kościołach, ale jak mi mówił ksiądz rektor, ofiary te stanowią dziś minimalną część budżetu dochodów.

W obu tych zakładach średnich na lekcyach nie byłem, bo odwiedziny moje przypadły w nieodpowiedniej do wizytacyi porze. Ale wszyscy znamy tekst: „po owocach ich poznacie je". I ten tekst dopomoże mi do oceny średnich zakładów naukowych polskich. Wśród młodej inteligencyi polsko-amerykańskiej spotkałem zupełnie przypadkowo, nie wybranych z góry, kilku wychowańców obu kolegiów. Wszyscy mówili doskonale po polsku i byli ożywieni szczerym duchem narodowym, co pozwala na wyprowadzenie wniosku, że zakłady te zadania swoje narodowe spełniają zupełnie dobrze. Co do ich wartości czysto naukowej, to o niej najlepiej zaświadczy fakt przyjmowania abituryentów do wielu uniwersytetów bez egzaminu.

Taki jest dzisiejszy stan szkolnictwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Pomimo niezadowolenia wielu świeckich, pozostanie faktem, zdaniem mojem nie ulegającym zmianie, że szkoły początkowe polskie są i pozostaną w ręku duchowieństwa. Wszelkie zamachy na ten stan posiadania byłyby płonne; nie można sobie wyobrazić instytucyi świeckiej, dość bogatej, by Stany Zjednoczone pokryła siecią szkół początkowych polskich — świeckich, a gdyby nawet znalazły się fundusze, to nie byłoby odpowiednich ludzi, Kościół zaś rozporządza w tej dziedzinie bezinteresowną i ofiarną pracą zakonnic. Zresztą usiłowania zeświecczenia szkół niższych polskich wywołałyby prawdziwą burzę, nowy zamęt,

nowe walki w łonie społeczeństwa polskiego, i to walki bezpłodne. Natomiast w kierunku ulepszenia, podniesienia istniejących szkół powinny sobie zgodnie podać ręce żywioły świeckie i duchowne do wspólnej pracy. Pisząc to, nie łudzę się wcale; wiem, że życzenie to pozostanie zapewne pobożnem.

Zgoła inaczej przedstawiają się rzeczy w dziedzinie szkolnictwa średniego. Dwa zakłady naukowe, liczące razem około pięciuset uczniów, to stanowczo za mało na dwumilionową rzeszę Polaków. Tutaj nastręcza się szerokie i owocne pole pracy dla organizacyi świeckich, przedewszystkiem dla Związku Narodowego. W łonie tej organizacyi istnieją odpowiednie projekty, zbierane są fundusze i życzyć tylko rodakom naszym należy, aby te projekty jaknajprędzej w czyn się przyoblekły. Jednakże dobry rozwój szkolnictwa polsko-amerykańskiego będzie natrafiał ciągle na trudną do przezwyciężenia przeszkodę: brak odpowiednich sił pedagogicznych. „Stary kraj" służyć niemi rodakom z za oceanu nie może, bo sam ma ich za mało; gdyby chciał służyć, usługi jego byłyby odrzucone, i słusznie, gdyż pedagodzy jego z Europy nie potrafiliby się zastosować do warunków amerykańskich. Szkolnictwo średnie polskie w Ameryce będzie zawsze na łasce przypadku, trafiania na pedagogów dobrych lub złych, nie świadomego wyboru, bo wybierać z czego niema.

A jednak rozwój szkolnictwa jest koniecznym warunkiem dalszego utrzymania narodowości. Jakkolwiekbyśmy się zapatrywali na dalsze losy żywiołu polskiego, na jego warunkową czy przymuso-

wą amerykanizacyę, zawsze powiedzieć sobie musimy, że szkoła jest tu jednym z rozstrzygających czynników — według mnie przedewszystkiem szkoła średnia — że, gdybyśmy zaniedbali szkolnictwo, zaniedbalibyśmy jeden z obowiązków walki o utrzymanie narodowości. A zarówno dla pesymistów, jak dla optymistów, słuszną jest zasada: „fais ce que dois, advienne que pourra".

ROZDZIAŁ XVI.

Organizacye i związki.

Prawie wszystkie organizacye i stowarzyszenia polskie oparte są na podstawie utylitarnej ubezpieczenia na wypadek śmierci. Wypłata pośmiertnego służy tu za środek do przyciągania członków i za źródło mocy finansowej instytucyi, ale bynajmniej nie za cel wyłączny ich istnienia. Wszystkie organizacye rozwijają mniej lub więcej szeroką działalność kulturalną, narodową, polityczną i t. d.

Przykład idzie tu od Amerykanów, którzy ogarnięci są istną manią ubezpieczenia się. Zasada zabezpieczenia przyszłości rodziny, sama w sobie bardzo słuszna i pożyteczna, posiada jednak także stronę odwrotną: niecierpliwość oczekiwania śmierci ubezpieczonego czy ubezpieczonej. W biednej rodzinie choroba jest klęską finansową, śmierć zaś może stać się poważnym zyskiem... Wniosek wyciągnąć stąd łatwo; wyciągany też bywa niestety zbyt często.

Przykład niezmiernie rozwiniętego życia stowarzyszeń wśród Amerykanów musiał silnie oddziałać na Polaków tutejszych. Rezultatem było powstawanie znacznej ilości towarzystw i łączenie się ich następnie w różne związki, obejmujące ludność polską bądź to w całych Stanach, bądź też tylko w danej miejscowości. Tak powstały organizacye ogólno-amerykańskie, jak Zjednoczenie polskie rzymsko-katolickie, Związek Narodowy, Unia Polska, Związek sokołów, Związek młodzieży, Związek Polek i organizacye miejscowe, jak Towarzystwo polskie w Milwaukee, Stowarzyszenie Polaków w Detroit, Zjednoczenie w Brooklynie i wiele innych. Wzrostowi i rozwojowi tych stowarzyszeń sprzyjały dwa czynniki zupełnie z sobą sprzeczne: chęć ubezpieczenia się na życie, która powodowała wielu Polaków do należenia równocześnie do kilku stowarzyszeń oraz walka partyjna i rywalizacya. W chwilach gorętszych walk zmniejszała się w organizacyach liczba członków wspólnych, w chwilach uspokojenia, zawieszenia broni, zwiększała się znacznie.

Historya organizacyi, obejmujących Polaków w całych Stanach Zjednoczonych, jest historyą wewnętrznych walk partyjnych, nurtujących społeczeństwo polsko-amerykańskie. Dotyczy to przedewszystkiem trzech głównych organizacyi: Zjednoczenia, Związku i Unii.

W najogólniejszych zarysach streszczony przedmiot walki obraca się około pytania: czy za Polaka, mającego prawo należeć do organizacyi polskich, może być uważany tylko katolik, tylko wypełniający praktyki religijne, czy też pojęcie to powinno

być rozszerzone na wszystkich, przyznających się do polskości, bez względu na ich wyznanie? Z początku, kiedy wobec niższego uświadomienia narodowego, pojęcie Polaka było ściśle złączone z pojęciem katolika, odpowiadano na pierwszą część tego pytania tylko twierdząco; dlatego „Zjednoczenie polskie, rzymsko-katolickie“ jest starsze. Z biegiem czasu rozszerzono pojęcie Polaka; wtedy powstał „Związek Narodowy” i pojęcie takie zyskiwało dalej coraz więcej zwolenników; oddzielano religię od narodowości: dlatego dziś „Związek Narodowy“ jest najpotężniejszy.

Dodać muszę, że w walce chodziło także o utrzymanie i zachowanie stanowiska kierowniczego duchowieństwa polskiego w instytucyach społeczno-politycznych. Klauzula o konieczności spełniania praktyk religijnych przez członków danej organizacyi tę rolę kierowniczą zapewniała duchowieństwu niepodzielnie; zniesienie jej sprowadzało księży do stanowiska zwykłych członków, których rola kierownicza zależna była od ich popularności, od wyboru i woli współczłonków. Nikt zaś nie może twierdzić na seryo, choć często używano tego argumentu w polemikach, że organizacya narodowa, licząca w swoich szeregach dziesiątki tysięcy Polaków, którzy wznieśli te wspaniałe kościoły, przy znanej i gorącej religijności ludu naszego, z którego przecież rekrutuje się emigracya polska, mogłaby być antykatolicka; Sejmy Związku, otwierane zawsze nabożeństwem, są wymownem odparciem zarzutów. Niema tu więc nawet wyraźnej różnicy między organizacyą antyreligijną i religijną, tylko

w pojęciu roli, jaką może grać religia w Stowarzyszeniu. Nawet określenie Związku, jako stronnictwa liberalnego, a Zjednoczenia, jako katolickiego, byłoby nieścisłe; równie fałszywe byłoby przedstawienie Związku, jako stronnictwa narodowego, a Zjednoczenia, jako stronnictwa Rzymu, nikt bowiem niema prawa odmawiania członkom tej organizacyi szczerych i gorących uczuć narodowych. Zjednoczenie składa się z Polaków-katolików, których praktyki religijne są kontrolowane, Związek w olbrzymiej większości składa się także z Polaków-katolików, praktykujących ćwiczenia religijne bez kontroli. Oto cała różnica. Pozatem działają tradycye historyczne dawnych walk, stoi otwarty spór o przewagę Kościoła czy też ludzi świeckich i dlatego wymienione związki nie są i zapewne nigdy nie będą połączone. Uszanujmy te różnice i przejdźmy do szczegółów.

Powiedziałem wyżej, że „Zjednoczenie" jest starsze. Źródłem tej wiadomości jest zarząd organizacyi; wedle tej wersyi Zjednoczenie zostało założone w r. 1873 na sejmie w Detroit, przez głośnego i niewątpliwie zasłużonego działacza polskiego w Stanach Zjednoczonych, ks. Wincentego Barzyńskiego ze zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców.

Godzi się jednak podać i opinię przeciwną: p. Osada, w „Historyi Związku Narodowego", twierdzi, że Związek jest starszy. Wprawdzie założony został w r. 1880, ale autor mówi na innem miejscu, że w celu przeciwdziałania Związkowi postanowiono wkrzesić „Zjednoczenie", które od kilku lat nie

dawało znaku życia o sobie. Wynikałoby stąd, że Zjednoczenie jest starsze, ale w okresie swojej działalności posiada lukę kilkoletnią.

Pełny tytuł tej organizacyi brzmi „Zjednoczenie polskie rzymsko-katolickie w Ameryce pod opieką Błogosławionego Serca Jezusowego". Jest to instytucya wypłaty pośmiertnego; dzięki wprowadzeniu reformy, mocą której młodzi jej członkowie płacą składki mniejsze, niż starsi, w ostatnich czasach liczba członków wzrasta znacznie, blisko o 500 miesięcznie; w chwili obecnej Zjednoczenie liczy około 23 tysięcy członków, rozrzuconych po całej Ameryce i połączonych w grupy w ten sposób, że nieraz w jednem miejscu jest kilka i kilkanaście grup Zjednoczenia. Wstąpić może każdy Polak należący do parafii katolickiej, i wypełniający obowiązki religijne, w wieku od lat 16 do 45, przyczem składka ubezpieczeniowa miesięczna waha się w granicach od 18—48 ct. od pośmiertnego w wysokości 250 dol.; tak samo waha się wstępne od $^1/_2$—1,75 dol.; przyjęcie uwarunkowane jest opinią lekarską. Członkami mogą być mężczyźni i kobiety, tworząc jednak grupy oddzielne, nie mięszane. Najwyższą władzą prawodawczą organizacyi jest sejm, zwoływany raz na dwa lata, złożony z delegatów poszczególnych grup i wybierający zarząd, który składa się z prezydenta, wice-prezydenta, sekretarza generalnego, skarbnika, kapelana i dziewięciu dyrektorów, częściowo z Chicago, częściowo z innych miast; prócz tego w kilku stanach, gdzie jest więcej Polaków, urzęduje kilku osobnych wice-prezesów. Siedzibą zarządu centralnego jest Chicago. Obecnie prezyden-

tem jest p. Leon Szopiński, wice-prezydentem p. Jan Jóźwiak, sekretarzem p. Tomasz Królik, skarbnikiem p. Teodor Ostrowski i kapelanem ks. Franciszek Wojtalewicz; lekarzem naczelnym dr. A. Szweikart. Ostatni sejm odbył się w Chicago, na jesieni r. 1905; był to z kolei Sejm dwudziesty. Grup liczy Zjednoczenie obecnie 277 i majątek jego wynosi 225 tysięcy dol.; w r. z. wypłacono sto tysięcy dolarów pośmiertnego.

Zjednoczenie rozwija żywą działalność oświatową i narodową przez zakładanie kółek literackich i dramatycznych, czytelnię, urządzanie obchodów narodowych, przedstawień na cele oświatowe lub kościelne itd. Każdy członek, prócz zwykłych składek, płaci 25 ct. rocznie na fundusz pomocy naukowej dla biednej, a zdolnej młodzieży polskiej i na ten cel posiada Zjednoczenie obecnie kapitał, wynoszący około dwudziestu tysięcy dollarów. Do Zjednoczenia należy olbrzymia większość, prawie wszyscy księża Polacy; zaledwie kilkunastu należy do Związku, choć liczba ich w ostatnich latach powoli wzrasta.

W celu powiększenia ilości członków zarząd Zjednoczenia wpadł na dowcipny pomysł ogłaszania konkursów między towarzystwami, należącymi do tej organizacyi z nagrodami za pozyskanie największej ilości członków; zamierzone jest dalej płacenie pewnej stałej sumy za każdego nowo pozyskanego członka.

Byłem na posiedzeniu zarządu tej instytucyi. Załatwiono bardzo wiele spraw bieżących, przyczem uderzyła mnie sprawność, praktyczność i, że tak powiem fachowość w obradach; u nas każda z tych

drobnych spraw mogłaby wywołać długą dyskusyę. Kilka korespondencyi świadczyło o stałej łączności z krajem, wiele uchwał ogólniejszej treści o pracy narodowej, rozwijanej przez organizacyę.

Przejdźmy z kolei do Związku Narodowego Polskiego w Ameryce, najpotężniejszej organizacyi polskiej, liczącej bowiem z górą pięćdziesiąt tysięcy członków i wzrastającej olbrzymio, zwłaszcza w latach ostatnich. Ale nie zawsze tak było. Początki były skromne, a cała historya Związku—to szereg walk z przeciwnikami z prawicy i lewicy.

Na początku r. 1880 zeszło się czterech ludzi dobrej woli: pp. Juliusz Andrzejkowicz, Juliusz Szajnert, Jan Popieliński i Jan Błachowski, którzy postanowili założyć stowarzyszenie pod nazwą „Związek Narodowy Polski", obliczone tylko na Filadelfię, miejsce założenia; w następstwie dopiero rozszerzono je na całe Stany Zjednoczone. Nowe stowarzyszenie zostało przyjęte niechętnie przez już istniejące, którym przybywał nowy rywal. Pomimo to, na pierwszym sejmie, odbytym w Chicago dnia 21 września 1880 r., zebrali się delegaci osiemnastu Towarzystw, uchwalili ustawę i wybrali pierwszy zarząd centralny; pierwszym prezesem zarządu był p. M. Kucera. Rzecz charakterystyczna: nabożeństwo przedsejmowe odbyło się w kościele czeskim, bo duchowieństwo polskie odmówiło odprawienia. Co prawda odezwa biskupa Niemca dyecezyi Greenbay parę miesięcy przedtem potępiła nowy Związek, jako podobny do Fenianów, masoński, zabraniając wiernym zbierania składek, łączenia się z nim i t. d.

Nie będziemy dalej szli krok za krokiem w rozwoju Związku; zanotujemy tylko, że już w roku 1881 powstał organ związkowy, tygodnik *Zgoda*, który do dziś dnia na tym samym stoi posterunku; założono go ze specyalnych składek dobrowolnych, które wyniosły 694 dol.; pierwszym redaktorem był p. E. Odrowąż. Zanotujmy też pierwszy występ nazewnątrz, manifestacyę polską u stóp pomnika Kościuszki w West Point w r. 1882.

Następne lata—to okres upadku Związku, który zdaje się ulegać prześladowaniom; w roku 1884 w Sejmie w Chicago uczestniczy ośmiu tylko delegatów. Ale po kilku latach, obchód setnej rocznicy konstytucyi Trzeciego maja, urządzony głównie staraniem Związku, jest już do pewnego stopnia jego tryumfem, a Sejm tegoż roku zgromadził 92 delegatów; organizacya liczy po jedenastu latach istnienia 3865 członków. W następnym 1892 roku nastąpiło otwarcie biblioteki i muzeum Związku, który tym sposobem zajmuje mocne, kulturalne stanowisko. W r. 1896 staje dom własny, na ulicy Divisionstreet 102—104, gdzie do dziś dnia mieszczą się biura Związkowe, drukarnia i redakcya *Zgody*, biblioteka i muzeum; liczba członków wynosi 10,000, mimo to, że do wrogów z prawicy, przybywają już teraz wrogowie z lewicy: socyaliści zaczynają silnie agitować przeciwko organizacyi zwykłą metodą czernienia i spotwarzania.

A jednak, w tym samym okresie czasu, Związek przeszedł nową secesyę wewnętrzną, która mogła poważnie zagrozić jego istnieniu. Zdawało się, że wszystko zmierza ku uspokojeniu; do szeregu Związ-

kowców zaczęli wstępować księża, gdy nagle na sejmie VIII w Buffalo przy nowej rewizyi ustawy Związku postawiony został wniosek, aby zastrzedz, że z organizacyi wykluczeni zostaną ludzie bezwyznaniowi i żydzi.

Gdy sejm wniosek ten odrzucił, wszyscy księża opuścili salę obrad. W następstwie założyli nową organizacyę, *Unię Polską* rzymsko-katolicką, która istnieje obecnie, liczy przeszło 7,000 członków i posiada 50,000 dol. majątku. Dodatnią stroną tej organizacyi jest, że ubezpieczenie wypłacą także za życia członków, w razie nieuleczalnej choroby czy kalectwa. Prezesem tego stowarzyszenia jest p. Węgliński z Jersey City, a zarząd główny rezyduje w Wilkes Barre-Pennsylvania. Do organizacyi należy wielu księży.

Wracam do rzeczy. Nie było sprawy polskiej, w którejby Związek nie uczestniczył: więc dzień polski w Chicago podczas wystawy, udział w wystawie kościuszkowskiej we Lwowie w r. 1894, udział w wiecach urządzanych przeciwko amerykanizacyi przez Kościół, przyjmowanie delegatów ze „starego kraju“, prof. Dunikowskiego, pułk. Miłkowskiego, p. Zygm. Balickiego, odsłonięcie pomników Kościuszki w Chicago, Milwaukee, Cleveland, różne protesty i manifestacye w sprawie polskiej, nigdy nie odbyły się bez jego udziału, często za jego głównie inicjatywą i staraniem. W innych wypadkach uczestniczył Związek jako część całości, bo jedno trzeba przyznać naszym rodakom z za Oceanu, że, kiedy chodzi o demonstracyę w imię ogólnych najróżnorodniejszych interesów narodowych, potrafią zapo-

mnieć o waśniach wewnętrznych i wystąpić jako jedna, silna, zwarta gromada.

Z biegiem czasu, do zastrzeżenia, że może do Związku należeć każdy Polak bez względu na wyznanie, wniesiono drugie, również zupełnie słuszne, „bez względu na przekonania polityczne“. To otworzyło drogę do Związku bardziej pokojowo nastrojonym socyalistom, których pewna ilość do dziś dnia należy, a wybitniejsi z nich, np. p. Al. Dębski piastowali nawet dość wysokie urzędy związkowe. W tem stadyum zastały Związek ostatnie wypadki. Jeżeli u nas, zbliska, przeceniano znaczenie rewolucyi rosyjskiej, można sobie wyobrazić, co się działo z opinią polską tutejszą, bałamuconą przez goniące za sensacyą dzienniki amerykańskie. Rodakom naszym zdawało się, że powstanie lada dzień wybuchnie, że trzeba gotować się do ofiar i do wymarszu.

Była to oczywiście woda na młyn socyalistów. Niewdzięczne, ale konieczne zadanie otrzeźwienia umysłów wziął na siebie prof. Tomasz Siemiradzki i niezmiernie konsekwentnie przeprowadzał je na szpaltach *Zgody*. Po pismach polskich, po grupach, przed sejmem wrzało; ostrym polemikom w łonie Związku nie było końca. A kiedy wypadki przyznały słuszność stanowisku organu związkowego, niechęć zwróciła się przeciwko tym, którzy przewidywali przyszłość, którzy studzili przedwczesne zapały. Ostatni sejm w Buffalo w r. 1905 był teatrem zapasów wyborczych na tej właśnie platformie, a większość delegatów oświadczyła się za obecnym

redaktorem *Zgody* i jego przyjaciółmi politycznemi; była to porażka socjalistów.

Sejm ten świadczy wymownie o potędze i powadze Związku. Przybyło 355 delegatów, reprezentujących 265 grup; ogólna ilość grup wynosi 621 z 42,782 członkami. Majątek Związku obliczany jest na 300,000 dol. z czego 191 tys. kapitału rezerwowego, około 40,000 wartość nieruchomości. Pośmiertnego wypłacono w pierwszem półroczu tego roku 117,525 dol., a od początku istnienia 1,634,903 dol. Odpowiednio do tej siły finansowej Związek coraz żywszą rozwija działalność [1]).

Już wyżej wspominaliśmy o reprezentacyi na zewnątrz przez urządzanie obchodów, demonstracyi w sprawie polskiej i t. d. Przejdźmy do innych rodzajów działalności, które oświetlą sprawozdania różnych wydziałów na ostatnim sejmie. Biblioteka i muzeum wykazuje stały wzrost: w ciągu ostatnich dwóch lat zakupiono 857 dzieł w 972 tomach; obecnie biblioteka liczy 4199 dzieł w 5008 tomach, z czego 3203 polskie; wypożyczono książek 31,370. Z czytelni, otrzymującej 77 czasopism (67 polskich), korzystało z górą 19 tys. osób. Muzeum, któremu początek dały zbiory d-ra Kałussowskiego, także zwiększyło ilość okazów i posiada dziś bardzo kompletny zbiór monet polskich, medale, obrazy i t. d.

---

[1]) Wszystkie dane cyfrowe, dotyczące stanu organizacyi polskich za oceanem są prawdziwe oczywiście tylko dla końca r. 1906 i początku 1907. Od tego czasu wzrosły bardzo zwłaszcza kadry Związku, z powodu przeprowadzenia kilku bardzo pożytecznych reform organizacyjnych.

Wydział oświaty miał do swego rozporządzenia 6,000 dol.; suma ta została użyta na wydawnictwo stypendyów dla młodzieży polskiej, na formowanie kompletów biblioteczek, których rozesłano po różnych miastach sześćdziesiąt, na wydawnictwa Związku, (będzie o nich mowa w rozdziale następnym), na szkoły wieczorne, które się jednak nie powiodły, tak samo, jak usiłowania utworzenia uniwersytetu ruchomego przed laty dwunastu. W zakresie filantropijnym wydano na różne wsparcia 8,476 dol.

Mniej szczęśliwie przedstawia się działalność Związku w tych dziedzinach, gdzie natrafia na konkurencyę pracy prywatnej. I tak, w zakresie kolonizacyi i nabywania gruntów bardzo pożądaną byłaby szeroka akcya społeczna prowadzona bezinteresownie i celowo; zamiarom Związku stawała tu jednak w poprzek niechęć wszystkich tych, którzy żyją ze sprzedaży gruntów, a imię ich jest legion. Puszczono w ruch zwykły oręż kłamstwa i potwarzy, nikczemne podejrzenia pod adresem ludzi, którzy się sprawie poświęcali, a rezultatem było oczywiście zniechęcenie i zaniedbanie sprawy. Toż samo stosuje się do zamiarów pośredniczenia w poszukiwaniu pracy i innych spraw z dziedziny przemysłu i handlu. Pragnąc roztoczyć opiekę nad przybywającymi z kraju emigrantami, Związek natrafia na posterunek już zajęty przez doskonale prowadzony dom emigracyjny polski Św. Józefa. W dziale szkolnictwa odpowiednia komisya proponowała założenie szkoły średniej i nałożenie w tym celu na członków podatku miesięcznego 10 ct. przez

dwa lata, oraz pobierania w tym okresie czasu od nowowstępujących członków jednorazowo 1-go dol. Z tych źródeł powstałby w ciągu lat dwóch fundusz w kwocie 140 tys. dol. Ale sejm wniosek ten odrzucił i nałożył jedynie na cele szkolnictwa podatek 5 ct. miesięcznie na dobrze stojących materyalnie członków.

Ten z konieczności niezmiernie pobieżny obraz przedmiotów obrad ostatniego sejmu, rzuca światło na olbrzymią i wielostronną działalność największej organizacyi. Hamulcem dla jej dalszego rozwoju jest tymczasem równość składki ubezpieczeniowej dla wszystkich członków, bez względu na ich wiek, odstręcza to bowiem od wstępowania do Związku ludzi młodych. Reforma ta natrafia na pewne przeszkody techniczne, wypływające właśnie z liczebnej siły Związku. Dziś — podatki pośmiertne, wnoszone są w miarę i w wysokości stosownej do ilości wypadków śmierci (pośmiertne wynosi 300, 600 lub 900 dol.); w razie wprowadzenia stałej proporcyonalnej do wieku składki ubezpieczeniowej Związek staje się olbrzymią instytucyą asekuracyjną; do kierownictwa taką poważną instytucyą finansową trudno byłoby znaleźć odpowiednich ludzi.

System organizacyi i ustawy Związku znają już czytelnicy z przeciwstawień i podobieństwa z organizacyą Zjednoczenia. Dodam jeszcze parę szczegółów o urzędzie cenzora. Jest to najwyższa władza Związku, rodzaj prezydenta, nie rządzącego, lecz czuwającego nad tem, ażeby rządy były sprawowane zgodnie z prawem przepisanem przez konstytucyę. W tym charakterze zwołuje sejmy, wyda-

je orędzia do członków, w pewnych wypadkach i w sposób ściśle przepisany może zawieszać postanowienia Zarządu Centralnego, roztacza opiekę szczególną nad organem związkowym, przewodniczy z urzędu w komisyi apelacyi i zażaleń, ma prawo każdego czasu rewidować książki i t. d. Wicecenzorzy, rozrzuceni po całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych są organizatorami swoich okręgów i wraz z cenzorem stanowią instancyę apelacyi i zażaleń. Cenzor nie może mieszkać w tem samem mieście, gdzie urzęduje zarząd centralny, czyli w Chicago.

Cenzorem Związku jest obecnie pan Antoni Schreiber z Buffalo, N. Y.; wicecenzorów jest dziesięciu i jedna wicecenzorka na całe Stany Zjednoczone dla grup związkowych kobiecych, p. Walerya Lipczyńska z Grand Rapids. Skład zarządu centralnego stanowią: prezes p. Maryan Stenczyński, wiceprezes pan M. Rzeszotarski, sekretarz generalny p. Stefan Napieralski, skarbnik p. Michał Majewski, oraz dziewięciu dyrektorów; lekarzem naczelnym jest dr. W. Kuflewski, który do pomocy ma cały szereg lekarzy egzaminujących. Redaktora *Zgody* także wybiera sejm; w naszem pojęciu europejskiem wydaje się trochę dziwnem puszczanie na niepewne fale wyborów stanowiska, potrzebującego koniecznie uzdolnienia fachowego, a obsadzanego przez tłum ludzi, którzy na tym rodzaju działalności najmniej znać się mogą. Ostatni sejm powołał na redaktora prof. Tomasza Siemiradzkiego—ponownie.

Związek Narodowy Polski, jak wszystkie ugrupowania potężne, zdradza silne dążności centrali-

styczne. Jeżeli toleruje istnienie współrzędne tych organizacyi, które mu się historycznie przeciwstawiały, to niechętnem, zazdrosnem okiem patrzy na nowo powstające instytucye. Nie cieszy się też jego sympatyami czwarta organizacya polska, obejmująca w zasadzie kobiety polskie w całej Ameryce, choć w praktyce rozwijająca działalność głównie w Chicago i okolicy, druga zaś obok Związku posiadająca dom własny, mianowicie *Związek Polek w Ameryce*, liczący siedem lat istnienia.

I tu również co do początków organizacyi panuje różnica zdań. Członkinie Związku Polek mówiły mi, że założyły swoją organizacyę, ponieważ ani Związek, ani Zjednoczenie grup kobiecych nie znały, a kobiety również pragnęły stowarzyszać się na gruncie ubezpieczeniowym; dopiero po założeniu organizacyi kobiecej obydwie poprzednio wyłącznie męzkie organizacye wprowadziły grupy kobiece. Wersya członków Związku Narodowego brzmi, że grupy kobiece istniały już przed założeniem Związku Polek, że więc organizacya ta jest niepotrzebna. Podaję obydwa zdania, bo nie mogą rozstrzygnąć, które odpowiada rzeczywistości.

Podstawy organizacyi i ustawy są tu mniej więcej takie same, jak w opisanych poprzednio instytucyach. W zasadzie taki sam zakres działania, występy na zewnątrz, samokształcenie, referaty, działalność oświatowa i t. d., tylko oczywiście na mniejszą skalę, ale z wielką ruchliwością wykonywany. Zarząd składa się z dziewięciu pań: prezeską jest obecnie p. Chmielińska, wiceprezeską pani Paweł-

kiewiczowa, sekretarką pani Wolowska. Organem Związku Polek jest *Dziennik Narodowy.*

Dalej zanotować trzeba Związek Sokołów, liczący 70 gniazd i przeszło 2,000 członków, Związek Śpiewaków, centralizujący chóry nie kościelne i liczący około 1,000 członków, wreszcie Związek Młodzieży, liczący 52 oddziały męzkie i 4 żeńskie i również około tysiąca członków. Instytucye te można uważać za zaprzyjaźnione ze Związkiem Narodowym, który udziela im subwencyi i prędzej lub później je pochłonie, zwłaszcza — ponieważ są to przeważnie ludzie młodzi—o ile wprowadzi stopniowy podatek pośmiertny. Ostatni sejm uchwalił nawet warunki, na jakich połączenie mogłoby nastąpić: wstąpienie związków in gremio z zachowaniem autonomii wewnętrznej w swoich sprawach specyalnych, z osobnemi zarządami, podległymi sejmowi i cenzorowi Związku; gniazda sokole, chóry śpiewaków i oddziały młodzieży zostałyby także in corpore grupami Związku. Na razie jednak połączenie takie jeszcze nie nastąpiło. Ta sama uchwała obejmuje i towarzystwa wojskowe, zajmujące się ćwiczeniami i mustrą, uświetniające swoimi mundurami uroczystości i pochody polskie; te towarzystwa znowu łączą się w korpusy, które odpowiadają związkom innych stowarzyszeń.

Na szczególną uwagę zasługuje Związek Młodzieży w Ameryce, który powstał przed 11 laty na zasadzie oddziaływania tajnych organizacyi patrjotycznych młodzieży w „starym kraju" i znajdujący się w stałym z niemi kontakcie. Szlachetnym celem tego Związku jest samokształcenie narodowe,

szerzenie i wzmaganie uczuć patrjotycznych, przeciwdziałanie amerykanizacyi, która młodzieży polskiej, zrodzonej na obczyźnie, w pierwszej linii zagraża. Rozczulający i wzruszający jest istotnie obraz tych młodzieńców, z których większość nie zna kraju ojczystego, łączących się w imię szerzenia idealnej miłości do przeszłości i rzeczy polskich. Związek młodzieży dobrze się zasłużył społeczeństwu polskiemu w Ameryce: z jego łona, z jego szkoły wyszli Stefan Napieralski, obecny sekretarz generalny Z. N. P., J. M. Sienkiewicz, sekretarz komitetu budowy pomnika Kościuszki w Waszyngtonie, Stanisław Łempicki, zdolny poeta o wysokim poziomie patryotycznym, J. Litko, młody a już zasłużony działacz narodowy i wielu innych młodych pracowników na niwie polskiej.

Idealnym celom również służy nie oparta na podstawie ubezpieczeniowej „Federacya polaków rzymsko-katolików w Stanach Zjednoczonych“, założona przed 6 laty, licząca około dwudziestu tysięcy członków i zmierzająca do skonfederowania wszystkich towarzystw, działających na gruncie danej parafii polskiej, bez względu na istniejące podziały partyjne, na to, czy należą do Związku, Zjednoczenia czy Unii. Celem Federacyi jest „duchowe połączenie wszystkich osad polskich w jedno ciało (ztąd nazwa jednostki stowarzyszeniowej „Osada") dla tem skuteczniejszego przeciwdziałania wynaradawianiu się społeczeństwa polskiego, a szczególnie młodszego pokolenia, oraz dla „łatwiejszego wywalczenia praw i przywilejów, przysługujących nam jako katolikom narodowości polskiej i obywa-

telom Stanów Zjednoczonych, tak na polu narodowem i politycznem, jak i kościelnem". Prezesem wydziału Federacyi jest ks. Jan Truszyński, z Peru Ill. sekretarzem zaś ks. K. Sztuczko, proboszcz parafii św. Trójcy w Chicago, jeden z najwybitniejszych duchownych polskich, jakich poznałem podczas mego pobytu w Ameryce. Federacya jest właściwie dopiero ukonstytuowana niedawno, bo od trzeciego kongresu polskiego rzymsko-katolickiego, który odbył się w Pittsburgu Pa, we wrześniu r. 1904-go, nie miała więc czasu rozwinąć szerszej działalności i trudno o niej coś więcej powiedzieć.

Dobiegam do kresu. Przedstawiłem czytelnikom w najogólniejszych rysach wszystkie organizacye polskie, rozwijające swoją działalność na gruncie całych Stanów Zjednoczonych. Pomijam organizacye i stowarzyszenia miejscowe, aby nie przedłużać i tak już wielkiego rozdziału; jest ich wiele, istnieją wszędzie tam, gdzie przebywają polacy w skupieniach liczniejszych. Pragnę, aby czytelnik miał wyobrażenie, że całe terytoryum Stanów pokryte jest gęstą siecią towarzystw polskich, nieraz zwalczających się wzajemnie zajadle, ale coraz liczniejszych i kroczących nieustannie na drodze dalszego rozwoju.

Możnaby z tego powodu załamać ręce i uronić kilka łatwych łez z powodu różnic stronniczych, dzielących Polaków nawet na obczyźnie, niezgody i waśni, przeszkadzających rzeczy publicznej i t. p. oklepanek. Nie pójdę drogą utartą; nie wymagam, aby dwa miljony polaków miały przekonania jednakie i nie pragnę tego, bo wiem, że to niemożliwe.

Ale pragnę, aby rodacy nasi w Ameryce tworzyli stowarzyszeń jaknajwięcej, przedewszystkiem aby nie było żadnego, któryby do jakiegokolwiek stowarzyszenia polskiego nie należał, a do tego jeszcze daleko. Moje sympatje—przyznaję to otwarcie—idą najdalej w kierunku Związku Narodowego, ale wiem dobrze, że wszystkich Polaków nie ogarnie, że potrzebne są i inne organizacye, odpowiadające różnym stanom duszy i różnym przekonaniom. Pragnę, aby wszystkie organizacye i stowarzyszenia rozwijały się jaknajpomyślniej, budząc i rozwijając poczucie narodowe, wzmacniając siły żywiołu polskiego w Ameryce. Wszystkie—spełniają to zadanie jaknajlepiej, każde wedle własnego rozumienia, a w chwilach doniosłych potrafią nieraz zdobyć się na zewnętrzną jedność, by zaświadczyć o potędze tego żywiołu. A jeżeli jest istotnie potężny siłę swoją i istnieje wogóle—zawdzięcza to przedewszystkiem wszystkim organizacyom i stowarzyszeniom polskim.

ROZDZIAŁ XVII.

Dziennikarstwo i literatura.

Niema większej przyjemności, jak módz pisać o pewnym objawie życia dobrze. Będę właśnie w tem szczęśliwem położeniu, mówiąc o dziennikarstwie polskiem w Ameryce. Ale muszę się wytłómaczyć.

Przed laty kilkunastu, za czasów uniwersyteckich, czytywaliśmy stale z kolegami pisma polsko-

amerykańskie; czytywaliśmy je z równą wesołością, jak *Muchę* i inne pisma humorystyczne, zwykle głośno. Prócz wycinków, bywały tam tylko artykuły, przepełnione wyzwiskami, z których „łajdak" był najbardziej łagodnem i salonowem. I tytuły były bardzo suggestyjne: „Kiedy oddasz, łajdaku, pieniądze, któreś ukradł?" „Czekaj, czekaj, aż ci kije sprawią" i t. p., oczywiście, z podaniem wielkiemi literami imion i nazwisk adresatów tych miłych pytań i milszych jeszcze zapowiedzi.

Potem straciłem zupełnie z oczu ten odłam prasy polskiej. I, jak to zwykle bywa, wyrobiłem sobie o nim raz na zawsze pojęcie niezbyt pochlebne. Z przykrością myślałem, jadąc do Ameryki, że z konieczności będę musiał zetknąć się z tamtejszem dziennikarstwem polskiem i z dziennikarzami.

Dziś, stwierdzam to z głęboką radością, zdanie swoje radykalnie zmieniłem: widziałem pisma i spotykałem ludzi, zupełnie odpowiadających wymaganiom człowieka kulturalnego. Dawne, osobiste, oparte na wymysłach, polemiki należą do dalekiej przeszłości i są zjawiskiem wyjątkowem; czasem, mamże wyznać? metody walki piórem wydawały mi się nawet kulturalniejsze, niż w niektórych pismach „starego kraju", Warszawy, a zwłaszcza Galicyi. Nie brak i tu pisemek rewolwerowych, ale czy brak ich u nas? Czy brak ich nawet w społeczeństwach, kulturalniejszych od naszego?

Zacznijmy od strony technicznej. Dziennik polski w Ameryce wzoruje się na swym współzawodniku angielskim, którego dziś już nieraz zastąpić może. Jest to duża płachta: na pierwszej stronie ma-

my podane wielkiemi literami tytuły i niejako streszczenie najważniejszych wiadomości danego numeru; artykuły rozpoczynają się najczęściej od góry szpalty. Najpierw idą rzeczy polskie, potem z życia miejscowego. Wiadomości z Polski są po staremu wycinane z pism naszych; znając warunki pracy w dziennikach tutejszych, szczupłość personelu, konieczną taniość, ze względu na skalę zarobków i środków Polaków amerykańskich, niepodobieństwo utrzymywania stałych korespondentów w kraju, żaden fachowy dziennikarz nie będzie z tego robił zarzutu. Nie bądźmy obłudni, nie stawajmy na „starokrajskich" szczudłach; jest to tajemnicą publiczną, że nawet w najbogatszych pismach naszych, nożyce nie są ostatnim instrumentem redakcyjnym. Zecerzy mogliby o tem powiedzieć więcej niż ktokolwiek, gdyby mówić chcieli.

Powieści polskie, również wycinane albo też przedrukowywane z książek, co jest także zrozumiałe. Schlebiając gustom czytelników, co widzimy zresztą wszędzie, druga powieść jest zwykle sensacyjna i tłómaczona: „Tajemnice grobów sybirskich", „Czarownica z Glaustedt" i t. d. Telegramy agencyi amerykańskich, reporta polska w wielu pismach własna, wiadomości bieżące amerykańskie, tłómaczone z pism angielskich, wypełniają dział bieżący. Felietony na tle miejscowych stosunków, artykuły z dziedziny polityki polsko-amerykańskiej i ogólno-amerykańskiej są oryginalne, często pisane z talentem, werwą i prawdziwem zacięciem publicystycznem.

Przechodząc do techniki drukowania i do ad-

ministracyi, zaznaczę, że wszędzie widziałem „linotypy“ (maszyny do składania, na których składany jest cały tekst dziennika, a tylko ogłoszenia składane są ręcznie), w wielu maszyny rotacyjne, w innych maszyny płaskie, o większej jednak znacznie, niż nasze europejskie, szybkości. Ogłoszeń mają tutejsze pisma polskie bardzo dużo; cena ich jest niewysoka.

Cały personel redakcyjny składa się zazwyczaj z redaktora oraz jednego, a czasem dwóch pomocników; zdarza się też, że redaktor sam musi być wszystkiem, do korekty włącznie; prócz tego pisma mają korespondentów dobrowolnych i specyalnych, płatnych we wszystkich koloniach polskich. Zarobki są bardzo liche. Za najwyższą normę można uznać 100 dolarów miesięcznie, co jednak znaczy tu o wiele mniej, niż 200 rubli w Warszawie. Jest to złe między innemi i dlatego, że tu, gdzie wszystko jest oceniane na dolary, dziennikarze są lekceważeni przez różnych głupców, pracujących ręcznie i zarabiających więcej, lub siedzących na mniej lub więcej ukradzionych workach, a głupcy, jak wiadomo, wszędzie stanowią większość.

Pisma polskie w Ameryce są organami różnych grup partyjnych polskich oraz reprezentują interesy jednego z dwóch wielkich stronnictw amerykańskich. Tego stanowiska pilnuje zwykle bardzo ściśle i troskliwie wydawca, który jest w porozumieniu z miejscowym komitetem wyborczym demokratycznym czy republikańskim. Zwrot, który w ostatnich czasach zachodzi w opinii ogółu Polskiego, odźwierciadla się w fakcie, że większość poważnych pism polskich

popiera stronnictwo republikańskie. Pisma tutejsze zajmują również różne stanowiska w ocenianiu wypadków w kraju i stronnictw u nas, rozwijających swoją działalność. Wszystkie te poglądy splatają się nie nieraz bardzo dziwacznie: w jednem piśmie katolickiem związkowiec i zjednoczeniec wspólnie popierają interesy republikańskie; w innem, zwalczającem socyalistów polskich w Ameryce, podnoszone są czyny socyalistów naszych w Warszawie i t. d.

Najdrażliwszą może jest sprawa języka. W zasadzie redaktorowie piszą sami poprawnie po polsku i pragną, aby pismo całe było nieposzlakowane pod względem językowym. W praktyce jednak nie zawsze mają czas na odpowiedni nadzór i wiadomości bieżące zwłaszcza upstrzone są „karami“, „sztorami“, „szapami“, „lotami“ itp. kwiatkami polskiej gwary ulicznej. Poza kwestyą języka, która przedstawia się niezbyt pomyślnie, pisma tutejsze bardzo szwankują pod względem kultury literacko-artystycznej; polityka i sensacye bieżące zasłaniają i wypełniają sobą wszystko inne. Ale, uderzmy się w piersi, czy zarzutu tego nie możemy równie skierować do naszej prasy codziennej? Co do języka zaś, to prof. R. Zawiliński karci również często nasze pisma codzienne, jak czyni to ks. Góral z St. Francis w stosunku do dzienników polsko-amerykańskich.

Po tych uwagach ogólnych przechodzę do przeglądu szczegółowego.

Pierwsze miejsce należy się urzędowemu tygodnikowi Związku narodowego polskiego, *Zgodzie*, rozsyłanemu wszystkim członkom tej najpotężniej-

szej organizacyi, bijącego więc około pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Na czele pisma stoi dziś człowiek wysokiej wiedzy, wielkiego wykształcenia i zacnego charakteru, znany i w Warszawie prof. Tomasz Siemiradzki, b. nauczyciel gimnazyów w Kielcach i Siedlcach (między innymi uczniem jego był Żeromski) i kandydat na profesora uniwersytetu w Kazaniu. Ale kiedy się do tej kandydatury przygotowywał w Berlinie, został wplątany do sprawy politycznej o należenie do tajnej organizacyi patryotycznej; zamiast profesury—po powrocie czekała go cela w cytadeli warszawskiej, a potem w więzieniu petersburskiem „Kresty". Zapowiadająca się świetnie karyera naukowa była złamana: p. Siemiradzki emigrował do Ameryki. Tu był profesorem w Detroit, a obecnie naucza z wysokości katedry redaktorskiej. Jest to człowiek dużej miary, przerastający o wiele poziom zwykłej inteligencyi; pod jego redakcyą *Zgoda* posiada wprost świetne artykuły publicystyczne, a język pisma zdradza również czujny i baczny nadzór redaktora, który równocześnie zabiera z powodzeniem od czasu do czasu głos w sprawach polskich w dziennikach angielskich. *Zgoda* w zasadzie jest bezpartyjna, jak sam Związek, ale, oczywiście, przekonania redaktora wyrażają się w ocenianiu polityki amerykańskiej ze stanowiska republikańskiego, a naszych stosunków ze stanowiska demokratyczno-narodowego. Widocznie poglądy te odpowiadają życzeniom przeważnej części związkowców, skoro ponownie został powołany większością głosów na fotel redaktorski. Pomocnikiem prof. Siemiradzkiego jest jego współzawodnik przy

wyborach, zdolny dziennikarz i poeta, p. Orpiszewski [1]).

Inne organizacye posiadają też swoje organy: Zjednoczenie — *Naród Polski*, wypełniany przeważnie komunikatami i korespondencyami z grup tej organizacyi, tygodnik, wydawany pod redakcyą p. Ignacego Kowalskiego, a Unia—tygodnik p. t. *Unia Polska*; obydwa te pisma liczą tylu prenumeratorów, ilu organizacye mają członków. Organem Związku Polek jest *Dziennik Narodowy*, wychodzący w Chicago, który sprawom tej organizacyi poświęca pół arkusza tygodniowo.

Dziennik Narodowy jest własnością spółki, złożonej z samych związkowców, co określa jego stanowisko w sprawach polskich w Ameryce. Na czele pisma stoi p. Stanisław Osada, prezes „Sokoła", dyrektor Związku Narodowego, niezmordowany, zasłużony działacz i propagator zasad demokratyczno-narodowych na gruncie amerykańskim; pismo redagowane jest żywo, barwnie, pełne artykułów gorących. W kwestyach polityki amerykańskiej zajmuje stanowisko republikańskie.

Demokratycznym na gruncie amerykańskim jest drugi poważny *Dziennik Chicagowski*, organ księży Zmartwychwstańców. Jak oni stanowią konsekwentną i wiedzącą, czego chce, konserwatywną prawicę

---

[1]) Od początku r. 1908 wychodzi jeszcze i *Dziennik Związkowy*, bardzo starannie redagowany. Powtarzam tu znowu zastrzeżenie rozdziałów poprzednich, że osoby i stanowiska mogły uledz zmianie od r. 1907, kiedy to pisałem.

Polonii amerykańskiej, tak i dziennik ich jest jedynem na tutejszym gruncie wyraźnem i świadomem pismem konserwatywnem. Z tego stanowiska ocenia sprawy nasze; „starokrajskim" jego monitorem i wzorem jest *Czas* krakowski. Chociaż nie mogę się zgodzić na reprezentowane przez ten dziennik zasady, muszę przyznać, że redagowany jest dobrze, solidnie, przez p. p.: Neumana, Szwajkarta i Kolanowskiego, zdolnych i rutynowanych dziennikarzy. Obydwa dzienniki liczą po kilkanaście tysięcy prenumeratorów.

Gazeta Katolicka, tygodnik, wychodzący w Chicago, jest własnością spółki, złożonej z prezesa Zjednoczenia, p. L. Szopińskiego, oraz członka Związku, p. J. Smulskiego, obecnego skarbnika stanu Illinois; w stosunkach amerykańskich stoi ten organ na gruncie republikańskim. Wraz z drugim tygodnikiem, *Gazetą Polską* p. Dyniewicza, są to dwa najstarsze pisma polskie w Chicago, istnieją bowiem od 1873 i 1874 r. Jeżeli dodam do powyższego spisu *Polonię*, tygodnik, wydawany w South Chicago pod redakcyą bardzo zdolnego publicysty i poety, p. Karola Wachtla, to, zdaje mi się, wykaz pism polskich w Chicago będzie zupełny.

Przechodzę do drugiego wielkiego miasta polskiego, do Milwaukee. Tutaj cały ruch wydawniczy skoncentrowany jest w rękach rodziny Kruszków, dobrze zasłużonej w sprawach polskich. Jeden z członków tej rodziny, głośny autor „Historyi emigracyi polskiej w Ameryce", ks. Wacław Kruszka, jest proboszczem niedaleko Milwaukee, w Ripon; drugi, p. Michał Kruszka, był senatorem stanowym,

czyli członkiem izby wyższej stanu Wisconsin, trzeci, p. Józef Kruszka, jest jednym z głównych kierowników spółki wydawniczej. Wydają oni jeden z najwybitniejszych dzienników w Polsce amerykańskiej, *Kuryer Polski*, tygodniowe streszczenie tegoż, *Kuryer Tygodniowy*, wreszcie organ farmerów-rolników polskich w stanie Wisconsin, *Gazetę Wisconsińską*, tygodnik. Prócz tego spółka ta posiada oficynę wydawniczą, wydającą różne książki; między innemi tu wyszła cytowana już tyle razy „Historya".

Wszyscy właściciele i redaktorzy *Kuryera* są związkowcami, mimo to *Kuryer* odbija silnie od innych pism związkowych, często przeciwstawia się *Zgodzie*, *Narodowemu* i innym. Mylne byłoby mniemanie o jednolitości Związku; trafne było twierdzenie wybitnego związkowca, wypowiedziane w rozmowie ze mną: „Związek nie jest partyą, jest rzeczpospolitą polską w Ameryce; jako taki, ma ludzi różnych przekonań, nie zna wzajemnej adoracyi".

Kuryer redagowany jest doskonale, aktualnie, bardzo żywo pod fachowem i utalentowanem kierownictwem p. Józefa Chrzanowskiego; liczy kilkanaście tysięcy prenumeratorów, zasługuje więc na nazwę „wybitniejszego" pisma, jaką mu nadałem. Mówię to tem śmielej, że nie jest to typ pisma, któreby odpowiadało memu usposobieniu i moim przekonaniom. Cechuje je pewien rodzaj radykalizmu dla radykalizmu, ciętości i kąsania, które same sobie wydają się celem; *Kuryer* stoi w pewnej opozycyi przeciwko wszystkiemu, co jest, co się tworzy, co się robi zarówno w „nowym", jak i w „starym" kraju, jest organem wszelkich niezadowoleń. Mówię

to na zasadzie rozmów z właścicielami i redaktorem, którzy bynajmniej nie są tak radykalni, jakby można było sądzić z *Kuryera*.

W Detroit na czele miejscowego *Dziennika Polskiego* znalazłem starego znajomego, p. Jana Kowalczyka z Katowic. Znany on był i w Warszawie, jako jeden z redaktorów, a potem jedyny redaktor *Górnoślązaka*, wybitny i zasłużony działacz narodowy na Śląsku. Okoliczności tak się potem złożyły, że musiał emigrować; społeczeństwu polskiemu w Ameryce przybył dzielny działacz i fachowy dziennikarz; wystarcza to dla określenia, że pismo detroickie prowadzone jest dobrze, ale redaktor walczy z rozmaitemi przeszkodami materyalnemi, które może usunąć tylko wzrost liczby prenumeratorów. I *Kuryer* i *Dziennik* reprezentują na gruncie amerykańskim stronnictwo republikańskie.

Pod redakcyą prof. Romualda Piątkowskiego wychodzi w Detroit tygodnik *Niedziela*; charakteryzują go te same zalety, co i jego redaktora: czysty, piękny język, podniosłe słowo i zacne, szlachetne, patryotyczne myśli.

W Buffalo spotykamy znowu inny typ pisma, *Polaka w Ameryce*, najbardziej zbliżony do dawnego, batalistyczny, bijący na prawo i na lewo. Jest to organ katolicki, ale także nieco fronderski. Ten typ pisma zanika, jak zanikają typy dawnych wojowników pióra i słowa. Tu, właściciel, ks. Pitass, i redaktor, Stanisław Slisz, b. kierownik głośnych w swoim czasie pism *Wiary i Ojczyzny* i *Kropidła* (od którego członków Zjednoczenia nazywano „kropidlarzami"), dobrali się, jako dwaj bojownicy z tem-

peramentu, umiejący mocno i otwarcie nienawidzieć; razem z pismem stanowią postacie, jakich mało już spotyka się w Ameryce. Jeden i drugi odznaczają się niespożytą energią, pierwszy, jako niestrudzony działacz na polu kościelnem i katolickiem, drugi, mimo długoletniej ślepoty, jako niezmordowany dziennikarz-polemista, niepospolicie zdolny, obdarzony pamięcią fenomenalną. Niegdyś *Polak w Ameryce* największe gromy rzucał na Związek; dziś zmienił przedmiot i walczy przedewszystkiem z OO. Zmartwychwstańcami. Jest to pismo wpływowe, liczące także kilkanaście tysięcy prenumeratorów, rozpowszechnione głównie wśród księży i kół katolickich Unii i Zjednoczenia.

Gazeta Buffaloska, tygodnik, wychodzący pod redakcyą p. E. Olszamowskiego, uchodzi, słusznie czy niesłusznie, za organ cenzora Zw. Nar. Pol., p. A. Schreibera; odznacza się również pewnem fronderstwem tonu i przypomina nieco *Kuryer*, ale bez ujawnianego w tem piśmie talentu. W Buffalo również wychodzi od paru miesięcy bez określonej barwy *Nowy Wiek*, tygodnik, liczący kilka tysięcy prenumeratorów.

W New Yorku wychodzi *Czas*, tygodnik, zapełniany wycinkami z *Prawdy* i *Ludzkości*; na gruncie amerykańskim ozdobne i górnolotne tyrady p.p.: Feldmana, Goreckiego, Kurnatowskiego i innych robią dość dziwne wrażenie, odskakują bowiem bardzo od poziomu umysłowego tutejszego czytelnika, a walki, w „starym kraju" zrozumiałe, tu przypominają rycerza z La Manszy i wiatraki. Sprawami polsko-amerykańskiemi pismo zajmuje się mało, po-

litykę olbrzymiej rzeczpospolitej traktuje ze stanowiska radykalnego odłamu stronnictwa demokratycznego, reprezentowanego tu przez Hearsta; w tej części można od czasu do czasu spotkać sensowny i poważny artykuł oryginalny.

Zupełnie osobno postawić należy miesięcznik ks. B. E. Górala z St. Francis, *Orędownik Językowy*. Ten wielki idealista nie jest członkiem żadnej partyi; wychowany zdala od kraju, ukochał język ojczysty i postawił sobie za zadanie stać na straży jego czystości.

W Ameryce powstaje dużo efemeryd, co widać z cytowanej historyi, która wylicza w przeszłośli i teraźniejszości 129 pism polskich. Wykaz ten robiony był w r. 1904 r. Od tego czasu mogły być niektóre pisma zawieszone, ale zapewne powstały inne, w przybliżeniu więc możemy podać obecną liczbę pism polskich w Stanach Zjednoczonych na 5 dzienników, 31 tygodników i 2 miesięczniki; wszystkie te pisma liczą razem nie więcej, niż 100 — 150,000 prenumeratorów. Liczba, jak na dwa miliony ludności, niepokaźna.

Obraz ten nie byłby zupełnym, gdybym pominął potępianą i bojkotowaną przez wszystkie stronnictwa organizacyę t. zw. *Zjednoczonej Prasy Polskiej*, której właścicielem jest jakiś Rabinow, Żyd rosyjski, nie umiejący ani słowa po polsku; owa prasa polska niepolskiego przedsiębiorcy założona została w mętnych celach sprzedaży wpływów przy wyborach więcej dającemu, a przedstawia się, jako szereg pism o różnych tytułach i z różnych datowanych miejscowości, ale drukowanych w Chicago,

posiadających tekst wspólny, z wyjątkiem miejscowych wiadomości bieżących, wstawianych osobno dla każdego miasta. Tytułów pism, nazwisk redaktorów nie wymieniam. Stosuję się w tem do słusznego ostracyzmu całej poważnej opinii polskiej w Stanach, bez względu na ugrupowania i stronnictwa.

*

* *

Leży przedemną cały szereg książek. Tylo razy cytowana dziewięciotomowa „Historya emigracyi polskiej w Ameryce" ks. Wacław Kruszki, mój przewodnik i towarzysz w labiryncie stosunków polsko-amerykańskich, wywołuje tu liczne i ostre niezaz zarzuty. Po dwumiesięcznym pobycie w Ameryce nie mogę, oczywiście, sądzić, czy są słuszne, czy nie. Ale muszę powiedzieć, że jest to dzieło pracy olbrzymiej, a przedewszystkiem pierwsza próba usystematyzowania materyałów, dotyczących wychodźctwa polskiego do Stanów. Za tę pracę należy się autorowi cześć i uznanie. Żaden przyszły historyk nie będzie mógł pominąć tego dzieła, które, owszem, będzie zawsze podstawą i punktem wyjścia dla badań następnych. Uroku dodaje mu żywy, barwny styl, zajmujący układ, nieposzlakowany język; mimo, że autor kruszy kopię w obronie gwary polskiej w Ameryce, sam pisze bynajmniej nie gwarą.

Do bardzo poważnych, przystępnie pisanych dzieł należą „Porozbiorowe Dzieje Polski" prof. Tomasza Siemiradzkiego (wydawnictwo Zw. N. P). Autor przeprowadza w nich ideę niezmordowanej wy-

trwałości narodu polskiego w obronie jego najświętszych dóbr i pragnie wpoić w czytelnika wiarę w lepszą przyszłość ojczyzny...

Dalej w zakresie dzieł z historyi miejscowej wymienić muszę bardzo cenną pracę p. Stanisława Osady p. t. „Historya związku narodowego polskiego“ (wydawnictwo Z. N. P.); jest to dzieło olbrzymie, oparte na materyałach archiwalnych, posiadające przeto wartość pierwszorzędną. Tu także notuję zajmującą „Historyę związku młodzieży polskiej w Ameryce“ Stanisława Łempickiego; obydwie te książki oddały mi wielkie usługi przy opracowywaniu rozdziału poprzedniego.

P. Stanisław Osada daje prócz tego dwie prace polityczne, bardzo dobrze i z zapałem opracowane: „Sześć odczytów o stronnictwie demokratyczno-narodowem i lidze narodowej“, oraz „Liga narodowa a Polacy w Ameryce“ [1]). Literaturę polityczną reprezentuje także dziełko „Konstytucya i instytucye polityczne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej“ (wydawnictwo Zw. N. P.). „Podręcznik dla urządzających obchody narodowe“ (wydawnictwo Zw. N. P.), zawiera szereg mów i odczytów na różne rocznice dla tych miejscowości, gdzie sil miejscowych nie stać na występy oryginalne. Palącą kwestyę wychowania polskiego Polaków porusza p. Karol Wachtel w pracy swojej „Szkolnictwo i wychowanie“.

---

[1]) Tenże autor wydał niedawno dwie ciekawe powieści z życia Polaków amerykańskich: „W dniach nędzy i zbrodni“ i „Z pensylwańskiego piekła“.

P. Rożan z Buffalo ułożył „Wybór pieśni narodowych“ (tekst i muzyka). P. Modest Maryański bardzo pożyteczny dla emigrantów „Słownik i przewodnik polsko-angielski“.

Z literatury podróżniczej mam w swoim przypadkowym zbiorze obficie ilustrowane wrażenia i szkice z podróży p. Michała Kruszki, zebrane pod tytułem „Na Zachód“. Zajmująca ta książka jest przytem wydana tak pięknie i starannie, że przynosi zaszczyt drukarstwu polskiemu w Ameryce, a wyszła z oficyny *Kuryera Polskiego* w Milwaukee. Na granicy beletrystyki i historyi stoi opowiadanie p. Wł. M. Kozłowskiego, „Rycerz wolności“ (Kazimierz Pułaski (wydawnictwo Zw. N. P.), a ładna pieśń patryotyczna p. Stanisława Łempickiego p. t. „Surmy“ należy do udatnych utworów poetycznych.

Nietylko najzdolniejszym, ale i najpłodniejszym pisarzem jest pan Szczęsny Zabajkiewicz, który zresztą do r. 1889 drukował sporo rzeczy w Galicyi po polsku i po rusińsku, przyjechał więc już tutaj, jako literat fachowy. Na gruncie amerykańskim wydał zbiorek poezyi, prócz tego „Wieczór wigilijny“. „Trzy ziarnka grochu i syn dziadowski“, „Powiastki dla malej dziatwy“ i inne. Na scenie polskiej w Chicago wystawiono następujące jego dzieła: „Jasnogóra“, „Powrót taty“, „Oświadczyny przez telefon“, „Niespodzianka“, „Akademia smorgońska“, „Jadwiga“ i inne.

Sam ks. Wacław Kruszka bierze żywy udział w pracy dziennikarskiej, a prócz tego wydał osobno „Rzym“, „Neapol i Wezuwiusz“, „O piękności“, „Anarchizm i jego stosunek do socyalizmu“, „Które

rządy najlepsze“ i inne. Wszystkie te dzieła były pochlebnie oceniane przez krytykę.

Pan Stanisław Osada, pisząc o literaturze polsko amerykańskiej, mówi: „Cały nasz dotychczasowy dorobek na polu twórczości autorskiej jest bardzo skromny, za literaturę uważać go nie można“. Ks. W. Kruszka, cytując zdanie powyższe, dodaje od siebie: „Prawda, ale społeczeństwo amerykańsko-polskie do tego pretensyi nie ma. Niewątpliwie jednak powiedzieć sobie może, że posiada już początki literatury“.

Zdanie to zupełnie słuszne, i jedynie z tego stanowiska dorobek literacki oceniać można. Chodzi o stwierdzenie faktu, że, mimo trudnych warunków, życie umysłowe Polonii tutejszej „jednak się porusza“.

ROZDZIAŁ XVIII.

Udział Polaków w życiu politycznem Stanów.

Wychodźca polski po przybyciu do nowej ojczyzny koncentruje swoje wysiłki wyłącznie w kierunku zarobkowym. Nie czyta nic, nie interesuje się niczem, języka nie zna, wszystko co się dzieje koło niego, wydaje mu się niezrozumiałem i obcem. Ale mijają lata, naturalnym biegiem rzeczy przychodzi znajomość angielskiego, wpada w rękę jedna i druga gazeta, mijają wybory stanowe czy municypalne, i powoli zaczyna się budzić świadomość otaczającego życia politycznego. A kiedy uzyska obywatelstwo, nazwisko jego ukazuje się na listach agentów wyborczych obu wielkich stronnictw, a ci mu już nie dadzą spokoju i wciągną go w wir po-

lityki. Nowy obywatel-Polak musi zdecydować się, na którą stronę położyć kartkę (w tutejszym żargonie polsko-amerykańskim „tykiet“) wyborczą.

Któż mu poradzi? Ten, do którego nawykł udawać się o radę, proboszcz miejscowy. I oto macie odrazu przyczynę, dla której prawie dotychczas znaczna większość Polaków głosuje za demokratami. Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych do ostatnich czasów sprzyjał demokratom i popierał ich politykę. Działo się to przedewszystkiem dlatego, że stronnictwo republikańskie ma wyraźne sympatye angielskie, a w tutejszym kościele katolickim rej wodzą i ton mu nadają Irlandczycy. Dalej — kiedyś stronnictwo republikańskie wystąpiło z projektem ograniczenia swobody zakładania i prowadzenia szkół wyznaniowych przy parafiach, i tego mu Kościół darować nie może.

Układ sił obu wielkich stronnictw amerykańskich jest taki, że w bezwzględnem posiadaniu demokratów są wszystkie dawne stany niewolnicze, a więc całe południe i część zachodu. Stany wschodnie, zwłaszcza kolebka kultury amerykańskiej, Nowa Anglia (Massachussets, Rhode Island, Connecticut, New Jork, New Jersey), są główną podporą stronnictwa republikańskiego, z wyjątkiem znowu wielkich miast, które obierają zarządy miejskie demokratyczne. Ponieważ jednak cały wschód Stanów jest zaludniony gęściej, więc w wyborach federalnych republikanie mają zawsze większość członków kongresu i dostarczają prezydenta. Wyjątkiem były rządy Clevelanda, które zaznaczyły się w historyi Stanów taką niebywałą nędzą, takim upad-

kiem przemysłu, takim brakiem pracy, że na długo zniechęciły ludność do rządów demokratycznych w Unii. Teraz zaś, przeciwnie, za ostatnich rządów Roosevelta rozwój przemysłu, łatwość i względna wysokość zarobku jest olbrzymia. Faktycznie nie znajdzie pracy ten tylko, kto jej znaleźć nie chce.[1])

Tak więc w większości Stanów wschodnich (z wyjątkiem miast), gdzie jest najwięcej emigrantów katolików, oraz w całej Unii władzę dzierżą republikanie. Innemi słowy, od tego stronnictwa zależy rozdział łask, dostojeństw, wszelkich dóbr doczesnych. Nie mogło to nie zwrócić uwagi realnych polityków katolickich. Z biegiem czasu okazało się też, że sympatye republikanów dla Anglii są bardzo platoniczne, a o projekcie ograniczenia szkół wyznaniowych przestano wspominać. Równocześnie nie pozostawała bez wpływu zręczna polityka prezydenta Roosevelta, pragnącego przeciągnąć na stronę republikanów taką potęgę, jaką jest tu Kościół katolicki; czytaliście o świeżo odkrytych usiłowaniach jego w celu uzyskania w Watykanie kapelusza kardynalskiego dla niezmiernie wpływowego i głośnego nawet w Europie msgra Irelanda. Te wszystkie czynniki nie pozostały bez wpływu; Kościół, jako taki, przestaje stać nieprzejednanie na stronie demokratów, daje więcej swobody pasterzom i wiernym. Kto wie, może blizki jest czas,

---

[1]) Pisałem to przed strasznem przesileniem ekonomicznem końca r. 1907 i r. 1908. Jeszcze w tej chwili dają się odczuwać jego skutki. Emigrant, który jedzie teraz, w r. 1909 snadnie narazić się może na nędzę z powodu braku zajęcia.

kiedy wielką swą moc rzuci na szalę republikanów. Dziś jednak mówić o tem byłoby przedwcześnie; zwrot dopiero zaczyna się i nie jest bardzo uchwytny: jeszcze większość katolików walczy pod sztandarem demokratycznym.

Wróćmy teraz do Polaków. Idąc za wskazówkami swoich proboszczów, głosowali zawsze przeważnie na listy demokratyczne. I czasem przekonania swe brali bardzo poważnie. Oto przykład.

Były to czasy wyboru Mac Kinley'a i sprawy waluty: pamiętają czytelnicy, że platformą republikańską było wprowadzenie monometalizmu złotego, demokratyczną zaś — bimetalizmu. *Dziennik Chicagoski*, organ OO. Zmartwychwstańców, zamieszczał codzień po parę szpalt głosów najwybitniejszych ekonomistów i polityków zarówno o monometalizmie, jak i o bimetalizmie, zupełnie bezstronnie, w celu poinformowania czytelników w sprawie waluty. Wreszcie, niewiadomo z jakiego powodu, gazeta oświadczyła się za monometalizmem. Skutek był taki, że przed redakcyą zebrał się tłum kilkunastotysięczny, grożąc zburzeniem redakcyi, zburzeniem kościoła, jeżeli ten artykuł nie zostanie cofnięty. Przełożonego, o. Wincentego Barzyńskiego, nie było wówczas w Chicago, telegrafowano do niego, co robić, i otrzymano polecenie, aby twierdzenia artykułu uroczyście cofnąć.

Cóż się stało, że sprawa tak specyalna, jak waluta, do takiego stopnia wzburzyła umysły spokojnego zwykle ludu? Oto przez lata całe identyfikowały się w jego umyśle katolicyzm i popieranie dążeń demokratycznych. Obojętnem było dla

niego, czy dolar będzie srebrny, czy złoty, tembardziej, że w jego pojęciu był zawsze papierowy; ale demokraci popierali srebro, i artykuł polskiego dziennika katolickiego wydał im się apostazyą, herezyą, wyrzeczeniem się podstaw wiary. I nastąpił wybuch.

Dziś stosunki się zmieniają. Na arenę publiczną występuje generacya nowa Polaków, już zrodzonych w Ameryce, wychowanych w szkołach tutejszych, władających językiem angielskim, jak rodowitym, obznajmionych z instytucyami państwowemi, ustosunkowanych, posiadających własne ambicye polityczne. Z drugiej strony obydwa stronnictwa przekonały się o pożytku posiadania agitatorów specyalnych dla różnych narodowości, zamieszkujących Stany Zjednoczone; podczas wyborów utrzymują i opłacają dobrze agentów wyborczych Polaków.

Nakładem Wydziału Oświaty Związku Narodowego Polskiego wyszła broszura o konstytucyi i instytucyach politycznych Stanów, bardzo przystępnie napisana; pisma polskie tutejsze poświęcają dość dużo miejsca sprawom polityki amerykańskiej; emigracya, przybywająca teraz z kraju, jest bardziej oświecona. Wszystkie te, zaledwie naszkicowane tu czynniki wpływają coraz bardziej na wzrost uświadomienia politycznego wśród ludności polskiej. Wyrabiają się przekonania samodzielne, oddziaływają rozmaite wpływy, i dziś Polacy głosują zarówno na listy demokratyczne jak i na listy republikańskie.

Zaznaczyć tu trzeba, że wśród inteligencyi polskiej przeważać zaczynają prądy republikańskie. Trudno określić dokładnie, czemu to przypisać.

W części zapewne dążnościom centralistycznym tego stronnictwa, które jedynie mogą zaprowadzić jaki taki porządek w bezładnej gospodarce stanów zachodnich i południowych; w części może mniejszej, a przynajmniej mniej wyraźnej i cynicznej korrupcyi w rządach republikańskich; wreszcie może tu oddziaływać także urok wielkiej postaci prezydenta Roosevelta, jednego z bardzo nielicznych polityków tutejszych, który ma czyste ręce. Takie są wnioski z osobistych rozmów i wrażeń. Osobiście miałbym może coś do zarzucenia sprawie centralizmu, ale brak materyałów wstrzymuje mnie od wypowiedzenia swego zdania.

Realnego wpływu na sprawy Unii Polacy nie posiadali, nie posiadają i posiadać nie będą. Giną liczebnie w olbrzymiem morzu amerykańskiem, w którem są zresztą małemi skupieniami rozrzuceni. Nawet tam, gdzie te skupienia narodowościowe są większe, jak np. w Chicago (Illinois), Milwaukee (Wisconsin), Detroit (Michigan), są one względnie zbyt nieznaczne, aby przeprowadzić wybór swego człowieka do kongresu. To też członka kongresu Polaka dotąd niema. Toż samo dotyczy legislatur, czyli ciał prawodawczych poszczególnych stanów. Indywidualnie jednak, o ile Polak potrafi sobie zdobyć poważanie i znaczenie wśród społeczeństwa amerykańskiego, może być powołany do różnych godności, przyczem jednak głosy polskie mogą być tylko nieznacznym przyczynkiem. I tak np. drugie z rzędu po gubernatorze stanowisko w Stanie Illinois zajmuje Polak, p. J. F. Smulski, były rzecznik generalny miasta Chicago (attorney); jest on obecnie

skarbnikiem, czyli ministrem finansów stanu Illinois; nawiasem wtrącę, że objęcie tego stanowiska uwarunkowane jest złożeniem kaucyi w kwocie 25 milionów dolarów. Pan Smulski, republikanin, jest osobistością bardzo tu popularną, i od jego woli będzie tylko zależało, czy przy przyszłych wyborach nie zostanie gubernatorem lub członkiem kongresu.

Prócz niego miał teraz wielkie szanse przejścia na członka kongresu p. Kunz, postawiony na liście demokratycznej. Podobno nawet nie przeszedł jedynie dzięki sfałszowaniu procedury wyborczej, wypadkowi pospolitemu w stosunkach tutejszych. Rodak nasz skarży rezultat wyborów.

Na niższych stopniach samorządu, np. w miastach, Polacy mają swoich przedstawicieli, o ile mieszkają skupieni. I tak, północno-zachodnie okręgi miejskie Chicago wybierają stale radców miejskich (aldermanów) Polaków; są także aldermani Polacy w Milwaukee, Detroit, Cleveland i innych większych ogniskach polskości.

Nasuwa się pytanie, czy pożądanem jest zjawiskiem istnienie stronnictw amerykańskich wśród Polaków, czy nie bardziej pożądanem i celowem byłoby stałe solidarne głosowanie na rzecz jednego ze stronnictw. Wypowiadam tu zdanie osobiste, twierdząc, że uważałbym to za zupełnie niepożądane. Trzeba pamiętać, że polityka w Ameryce jest dziedziną życia szczególnie brudną, w której chodzi o bardzo poziome, brutalne interesy materyalne. Wyzyskiwanie tu wielkiego hasła solidarności narodowej, potrzebnego i koniecznego u nas, gdzie mamy na wszystkich frontach walkę z odwiecznymi

wrogami, po to, aby ten czy ów z macherów politycznych mógł dostać tłustą posadę, po to, aby smarować tłuste połcie, wydawałoby mi się wręcz nieprzyzwoitem. Interesy narodowe Polaków w Unii w niczem nie są zagrożone; realnego wpływu na wielką politykę Stanów nigdy mieć nie będą; w razie, gdyby kiedykolwiek jakie postanowienie miało na szwank narazić interesy ogólno-polskie, mają oni możność oddziaływania odruchem dwumilionowej opinii oraz wpływem osobistym tych Polaków, którzy, jak np. p. Smulski, wybitniejsze zajmują stanowiska. Polacy nie mają więc celu w zbytniem przejmowaniu się interesami amerykańskich stronnictw politycznych; wystarczy, jeżeli kartki wyborcze oddawać będą bezinteresownie, jedynie w przekonaniu o zbawienności tych lub innych środków prawodawczych. Pragnąłbym, aby jak najdłużej prawdą pozostały dumne słowa prof. Siemiradzkiego, wypowiedziane w rozmowie z pewnym Amerykaninem. „Nowi polscy synowie wielkiej ojczyzny amerykańskiej lepiej służą jej, niż starsze dzieci. Nie ciągną zysków z jej interesów, nie zarabiają na życiu politycznem, nie sprzedają jej za misę soczewicy".

ROZDZIAŁ XIX.

Wśród emigrantów. — Ellis Island i dom św. Józefa.

Wielki parowiec transatlantycki dobija do brzegu. Wszyscy pasażerowie wylegli na pokład po-

dziwiać zębatą linię budynków New-Jorku; zapomnieli o wszystkiem, całkowicie oddani jednej myśli, że wkrótce staną na stałym lądzie; ustąpiła nawet troska o los, o przyszłość, jaka ich czeka na obcej ziemi, która dla wielu okazała się matką serdeczną, ale dla tylu innych macochą najgorszą. W tej chwili jednak niepodzielnie panuje radość i nastrój wesoły.

Nie wszyscy tę radość dzielą. Jeżeli na dolnych pokładach są i tacy, którzy się cieszą i weselą, są to nieświadomi, których niebawem gorzkie spotka rozczarowanie. Pasażerowie trzeciej i czwartej klasy dziś na ląd nie wysiądą; zdala tylko zobaczą twarze krewnych i przyjaciół, którzy na nich oczekują. Zanim noga ich stanie na wolnej ziemi, przejdą cały szereg formalności nudnych, uciążliwych, biurokratycznych, ale zrozumiałych i koniecznych. Wobec olbrzymiego napływu immigrantów rząd strzeże się chorób, pauperyzmu, wszelkimi środkami zwalcza handel żywym towarem, i do tych wszystkich zabezpieczeń zmierzają przepisy prawne i badania, które ograniczają swobodę pierwszych kroków ludzi, przyjeżdżających na ziemię swobodną często z ziemi niewoli.

Niedaleko od Hoboken, kędy stają wielkie parowce, na wprost cypla, kędy Hudson z rzeką Wschodnią łączy swoje fale, niby to już na morzu, stoi maleńka wysepka, właściwie dwie, mostem z sobą połączone. Na wysepkach tych wznoszą się wesołe, żółte z czerwonem mury, niby zamczyska, niby pałace letnie, gustowne, zgrabne. Złudzenie! — to

Ellis Island, jeden z etapów życia biednych tułaczy. Wielki dom—to rządowy dom emigracyjny, mały — to szpital obserwacyjny.

Szczęśliwi, odprowadzani zazdrosnem wejrzeniem, pasażerowie pierwszej, drugiej klasy już na ląd wysiedli. Przystań zalega cisza—na krótko, jeżeli słońce jeszcze świeci, na noc całą, jeżeli statek przyszedł wieczorem. Ale oto z mgły wynurzają się niewielkie płaskodenne parowce, pełne urzędników. Rwetes, hałas, wszystkie słychać języki. To statki rządowe przyjechały po immigrantów i po dwudziestu minutach jazdy wysypują swój żywy ładunek na przystań wyspy emigracyjnej.

Zahukanych, onieśmielonych biedaków pędzą teraz do olbrzymiej sali, podzielonej kratkami i statkami drucianemi wysokości człowieka na szereg przegród, dowcipnie urządzonych, tworzących istny labirynt, w którym obowiązki Aryadny pełni poważny, surowy woźny w mundurze. Jedno wejście i jedno wyjście wąziutkie.

U wejścia stoi doktór i paru asystentów. Emigrantów wpuszczają pojedyńczo. Jeden bystry i szybki rzut oka, podniesienie powiek, prędkie zapytanie, ruch ręką w stronę asystentów. Kilku poszło na prawo, jeden mignięciem ręki naznaczony został krzyżem kredą na rękawie: tego kierują na lewo, pod dalszą obserwacyę lekarską.

Kto przeszedł tę pierwszą rewizyę, idzie dalej, do urzędników, mówiących wszystkimi językami, sprawdzających krótko i pobieżnie dane osobiste, zawarte w spisach emigracyjnych, które obowiązane

są sporządzać towarzystwa przewozowe w Hamburgu, Bremie czy innym porcie wyjścia statku. Na tem nie koniec, ale tymczasem rozprowadzają emigrantów po pomieszczeniach.

Osobno idą kobiety z dziećmi, osobno mężczyźni. Długie szeregi dwupiętrowych żelaznych wązkich nar, pokrytych siatkami drucianemi z cienką derką: to będą sypialnie, w których noc tylko przepędzać mogą. Na podawany trzy razy dziennie posiłek przechodzą do sal jadalnych; resztę czasu spędzają w osobnych dużych celach, zawsze pod nadzorem, zawsze pod czujnem okiem szyldwachów, jak w więzieniu. Czysto tam zresztą wszędzie, posiłek porządnie podany w miseczce i wystarczający, ale naokoło mury i tyle sławiona wolność niewiadomo, daleka, czy bliska.

Tu rozlegają się pierwsze lamenty. Temu zabrano do szpitala żonę, innemu brata, owemu dziecko. Ci, którzy od lekarza poszli na lewo, będą przewiezieni do trzech szpitali: dla wyczerpanych przez morską chorobę (Brooklyn), dla chorych zaraźliwych i zakaźnych, wreszcie pod obserwacyę, jeżeli istnieje tylko podejrzenie choroby (tuż obok). Ale gdy zachorowało dziecko, nie wypuszczają stąd rodziców, póki nie wyzdrowieje lub nie umrze, nie pozwolą im go odwiedzać, choćby choroba trwała parę tygodni. To daje najwięcej powodu do skarg, na które jednak żadnej niema rady: twarde prawo, ale prawo.

Teraz zaczynają się badania szczegółowe. Dziewczyny, kobiety w średnim wieku na ląd nie

wypuszczą, jeżeli nie zgłosi się po nią mąż, ojciec, brat, a z kobiet może i dalsze krewne; czynią to nawet wtedy, jeżeli ma pieniądze i bilet kolejowy na dalszą podróż. Zaczyna się pisanie i telegrafowanie pod wskazanymi adresami, często bezskuteczne. Mężczyznom łatwiej. Jeżeli ma przepisane prawem 20 dol. (40 rub.) i bilet kolejowy do miejsca, gdzie czeka już na niego robota, przeprowadzają go do olbrzymiej hali, mieszczącej agentury wszystkich kompanii kolejowych, biura zmiany pieniędzy, spedycyjne i t. d. Teraz dostaje się już w ręce kolei, która go dostarczy na miejsce. Inni, bez dalszych biletów, będą odstawieni do New-Yorku. Zostaną odłączeni starcy, kalecy i ci, którzy nie mają dwudziestu dolarów; wraz z dziewczynami bez opieki, mają być odesłani bezpłatnie do Europy statkiem tej samej kompanii, która ich przywiozła. Stąd nowa rozpacz, bo wielu pragnie zostać w Ameryce. Jeżeli sprawy ich rozstrzygnie niepomyślnie „Court“, sąd, a właściwie komisya emigracyjna, zasiadająca tu na miejscu, w Ellis Island, nie pozostaje im nic, chyba odwołać się do pomocy domów emigracyjnych narodowych. I to też teraz czynią.

Niemcy mają dwa domy emigracyjne: katolicki i protestancki, Austro-Węgry—jeden, Włochy jeden, jest też dom emigracyjny żydowski. Polacy mają także swój: Dom św. Józefa. A chociaż swego państwa nie tworzą, jednakże dom ten ma uznane przez władze amerykańskie stanowisko urzędowe.

Często, prawie codziennie, można na Ellis Island

spotkać bardzo młodego, szczupłego, wygolonego, wysokiego bruneta, przeglądającego spisy emigrantów Polaków. Jest to ksiądz Jóźwiak, kapelan domu św. Józefa. Już przejrzał spisy, rozmówił się z urzędnikami, rozpoczyna się teraz akcya. Dotyczy ona wszystkich tych, których już wyżej wymieniłem, z wyjątkiem niedołężnych starców i kalek (brak dwóch palców u ręki uważany jest za kalectwo), którzy bezwarunkowo wrócą do Europy. Ale jeżeli są zacięci i bywalcy, to powrócą tu znowu, przez Kanadę, gdzie żadnych formalności emigracyjnych niema.

Kto chce być wzięty pod opiekę domu emigracyjnego, musi wyrazić na to piśmiennie swoją zgodę. Biorąc immigranta na swoją odpowiedzialność, dom *implicite* daje zobowiązanie, że każdemu znajdzie zajęcie, aby kobieta nie dostała się do domu nierządu, a mężczyzna biedak nie spadł na barki gminie. To jest podstawa umowy zobopólnej.

Godzina dwunasta. Ks. Jóźwiak śpieszy z sali do sali. A tuż u drzwi wyjściowych zbiera się szczęśliwa gromadka. Dozorca otrzymuje pokwitowania, dalej parę kroków na statek rządowy. Gwizd... i w króciuchną już teraz ruszają drogę.

Immigranci zbili się w kupkę, niby strwożone ptactwo. Ten i ów nadrabia miną, tam płyną szczerze ostatnie łzy tęsknoty do „pól, malowanych zbożem rozmaitem", do swoich za górami, za morzami, do bezpowrotnie zamkniętej przeszłości. W tej chwili przeraża ich wszystko: mknące gęsto promy i statki, ciągłe buczenia i gwizdy, nawet zbliżające się do-

my kilkunastopiętrowe zdają się ich witać surowem wejrzeniem.

Ale nie czas na żale. Już ląd, jeden z najbrudniejszych i najruchliwszych punktów New-Jorku. Ciężarowe wozy z głuchym łoskotem długim szeregiem wtaczają się na promy; górą po żelaznem rusztowaniu toczy się kolej nadziemna; z dołu idzie łoskot podziemnej, a stacya, niby paszcza, wchłania i wyrzuca tłumy ludzi; ogłuszająco brzmią przeraźliwe dzwonki tramwajów. Oglądając się na lewo i na prawo, ze strachem, powoli rusza nasza gromadka, obładowana węzełkami, za pewnym i szybkim krokiem zdążającym przewodnikiem.

Droga niedaleka, parę minut zaledwie. Oto Broad street № 117. Wązki, czerwony dom. Duży napis na froncie: Dom św. Józefa. St. Josephs Home.

Wejdźmy do środka. Na dole znajdziemy wielką ciemną salę, w której trzy razy dziennie dostaną goście zdrowy i pożywny posiłek. Na pierwszem piętrze mieszka kapelan i mieści się parę pokoi dla przyjezdnego duchowieństwa, w których jednakże czasem wyjątkowo mieszkają świeccy, np. dr. Kowalski i ja. Na drugiem — sypialnie kobiet, na trzeciem—kaplica i mieszkanie sióstr Felicyanek, zarządzających gospodarstwem domu i prowadzących książki, wreszcie na czwartem — sale męskie. Tu emigranci znajdą przytułek—za 50 ct. dziennie, jeżeli płacić mogą, darmo—jeżeli są zupełnie biedni. Ale przytułek chwilowy, kilkodniowy, potem muszą iść do roboty, którą im dom św. Józefa znajdzie

z łatwością, ma bowiem więcej zapotrzebowań, niż kandydatów do pracy. Immigranci polscy są już zainstalowani. Dom sprawdza, komu daje dziewczyny do pracy, a jeżeli oddaje je rodzinie, surowo baczy, aby to była rodzina rzeczywista.

Dom św. Józefa założony został przed laty czternastu, ze składek duchownych polskich; te składki i ofiary dobrowolne, np. od tych, którzy tu mieszkali, miały mu też zapewnić istnienie. Ale finanse były złe. Pierwszy dyrektor ks. Gulcz, stracił cały swój majątek, owoc długoletnich oszczędności. Potem było jeszcze gorzej. Stanął wprawdzie dom własny, ale na kredyt. Groziła mu subhasta za długi. Biskup miejscowy, zaangażowany finansowo osobiście, w owej chwili krytycznej, na początku roku 1905, mianował dyrektorem młodego księdza, tu wychowanego, ks. Hipolita Kwaśniewskiego, proboszcza parafii św. Wojciecha w New-Yorku.

Ten wglądał i wgląda we wszystko sam. Jeden cent nie zostaje wydany bez jego woli i wiedzy. Rezultaty nie dały długo na siebie czekać. Najpilniejsze długi spłacone, inne spłacane są powoli. Składki i ofiary niepotrzebne: dom utrzymuje się sam; w r. 1906-ym przeszło przez jego ręce z górą trzynaście tysięcy osób.

Tytuł własności domu znajduje się w ręku biskupa nowojorskiego, który jest jego wierzycielem na summę 35 tysięcy dolarów. Dom pobiera subwencyę od konsulatu austryackiego w sumie tysiąca dolarów rocznie; taką samą zapewne otrzyma od konsulatu rosyjskiego. Obecnie okazuje się zbyt mały

i dyrektor szuka odpowiedniego placu, by pobudować gmach większy.

Personel domu stanowią: wymieniony już ks. dyrektor Kwaśniewski, kapelan—ks. Jóżwiak, kilka sióstr i pięciu agentów, dyżurujących w domu, na przystaniach i na wyspie emigracyjnej.

Ta pożyteczna i niezmiernie doniosła instytucya była także kością niezgody w społeczeństwie polskiem w Ameryce. Związek Narodowy nosi się oddawna z myślą założenia domu emigracyjnego w New-Yorku i posiada nawet na ten cel dość znaczne fundusze. Były prowadzone układy, aby fundusze te zużyć na podniesienie i powiększenie domu św. Józefa, ale rozbiły się z powodu najważniejszej kwestyi zarządu wewnętrznego. Związek zamiaru swego nie zaniechał, owszem, podobno niebawem ma być urzeczywistniony. Trudno to uznać za dobre. Działalność domu emigracyjnego św. Józefa pod obecną dyrekcyą nie wywołuje żadnych poważnych zarzutów z żadnej strony, istotnej więc potrzeby zmiany niema. Z drugiej strony dwa domy nie będą mogły się utrzymać, skoro z trudem utrzymuje się jeden; obydwa będą potrzebowały ciągłych subwencyi, innemi słowy, będą beczkami bez dna. Nie uśmiecha się przytem perspektywa wydzierania sobie emigrantów przez agentów z konieczności rywalizujących ze sobą domów; wytworzy to nieznośną atmosferę wzajemnych niechęci, plotek itd. Przyznam otwarcie, że nie rozumiem tu pobudek, prócz chęci postawienia na swojem.

Zresztą powstanie drugiego domu emigracyj-

nego polskiego jest rzeczą przyszłości, może jeszcze dalekiej. Tymczasem istnieje jeden tylko dom św. Józefa i spełnia doskonale swoje zadanie ułatwiania pierwszych kroków emigrantom Polakom.

Niech się rozwija jak najlepiej ten kawałek ziemi polskiej, w centrum handlowej dzielnicy w New Yorku; niech rośnie, niech nadal otacza wychodźców atmosferą polską, która tyle im dostarcza radości na początku pobytu w obcej krainie.

ROZDZIAŁ XX.

Po drodze.—W gościnie u Polaków.

Obchód listopadowy w Bostonie. —Dzielnica polska w Chicago.—Wielki wiec.— Polacy w Milwaukee. — Teatry polskie.— Nad brzegami jeziora Erie.— Wigilia na obczyźnie.— Polacy w Buffalo. — Ostatnie wiece.—Odezwy.

Pragnę dać tutaj czytelnikom przegląd pobieżny materyału spostrzegawczego, na którym oparłem część swoich wniosków i uwag. Przebiegliśmy kilka największych kolonii polskich w Bostonie, Chicago, Milwaukee, Detroit, Buffalo, New Yorku i innych. Notatki, robione w przelocie, złożą się na obraz kolonii w ruchu. Zaledwie słabe pojęcie dać mogą o tej serdeczności i iście staropolskiej gościnności, z jaką nas wszędzie przyjmowano. Oświetlą też stronę narodowo-społeczną naszej podróży. Wracam tu znowu do formy dziennika, przeważającej w pierwszej części książki niniejszej.

Boston, d. 6 grudnia.

Dzień 29 listopada przepędziliśmy w wagonie. Do Bostonu trafiliśmy na obchód, odłożony na następną, pierwszą niedzielę grudnia. Jest tu około czterech tysięcy Polaków, rzemieślników, robotników i wyrobników, pochodzących przeważnie z łomżyńskiego. Istnieje osiem stowarzyszeń polskich, z których dwie grupy związku narodowego; wszystkie, połączone razem tworzą t. zw. gminę bostońską, której staraniem urządzony został wczorajszy obchód. Proboszczem miejscowej parafii polskiej jest ks. Chmieliński.

Obchód rozpoczął się od rannego nabożeństwa z kazaniem patryotycznem, wypowiedzianem przez ks. Gralewskiego. Następnie, około 4 ej po południu znaleźliśmy się w dużej sali, w liczbie około siedmiuset osób, z przewagą kobiet i dzieci. Jak wszędzie wśród Polaków w Ameryce uderzała nas i tu widniejąca wyraźnie zamożność i dobrobyt, wysoka stopa życiowa, którą tu nasi bardzo prędko przejmują od Amerykanów, chociaż jednak żyją od nich oszczędniej.

W program szczegółowo wchodzić nie będę: nie różnił się on niczem od typowego przebiegu podobnych uroczystości; mnie osobiście nasunął żywe wspomnienia dawno minionych lat, kiedy urządzałem i uczestniczyłem w podobych licznych obchodach wśród emigracyi europejskiej w Szwajcaryi. Więc był wcale udatny odczyt o powstaniu listopadowem i jego znaczeniu, deklamacye, bardzo dobre śpiewy chóralne i inne produkcye muzyczne.

Największe wrażenie robiły na nas dzieci polskie z miejscowej szkółki przy kościele, zrodzone tu już na obczyźnie i wyuczone ładnych pieśni i wierszy naszych; nie brakło nawet chóru maleńkich w konfederatkach pod dzielną batutą kilkunastoletniej dziewczynki.

Punktem kulminacyjnym, choć programem nieprzewidzianym, obchodu było niewątpliwie wystąpienie ks. rektora Gralewskiego. Ukazanie się jego na trybunie powitały długo niemilknące oklaski i okrzyki „Niech żyje poseł"! Poseł ziemi warszawskiej scharakteryzował pokrótce prace Koła Polskiego w pierwszej Izbie, oraz olbrzymie trudności, w jakich rozwijać musiało swoją działalność, poczem przedstawił szereg prac, rozpoczętych przez społeczeństwo polskie w Królestwie, w czem lwia część przypadła oczywiście Macierzy. Okrzykiem na cześć oświaty ludu, podwaliny lepszej przyszłości Ojczyzny zakończył ks. Gralewski swoje przemówienie, które wywołało entuzyazm olbrzymi. Potem i inni goście z Królestwa musieli głos zabrać: doktór Kowalski w jędrnem, dobitnem przemówieniu scharakteryzował rolę i znaczenie ludu polskiego; nawet piszący te słowa, niechętnie występujący na trybunie, wypowiedział parę uwag o doniosłości stowarzyszeń polskich, jako przeciwdziałanie amerykanizacyi Polaków. Ks. Gralewski mówił jeszcze po raz drugi specyalnie do kobiet, wzywając je do pielęgnowania języka, do straży przy polskości, tak łatwej do utracenia wśród żywiołu obcego i wyżej cywilizowanego. Opuściliśmy zgromadzenie, serdecz-

nie żegnani przez obecnych; zwłaszcza ks. rektor był znowu przedmiotem gorących owacyi.

Rozmawiałem z wieloma emigrantami. Nie dla wszystkich sławiona Ameryka okazała się dobrą macochą—nie dla wszystkich. Wielu istotnie tęskni do kraju i istotnie powrócić pragnie.

Chicago, 14 grudnia.

Podróżny, udający się na północno-wschodnią stronę tego olbrzymiego, a niesłychanie brzydkiego miasta, jakiem jest Chicago, zaczyna naraz spostrzegać z radością szyldy i nazwiska polskie. O pół godziny drogi od środka miasta, znajduje się w dzielnicy polskiej, niemniej brudnej, ale i nie brudniejszej od innych, gdzie na ulicy błoto nigdy nie wysycha — chyba latem. Nikt go też nie uprząta — w zarządach miast amerykańskich panuje idyliczna prostota. Gdyby nie rzęsiste oświetlenie sklepów, przechodzień mógłby połamać ręce i nogi; na wielu bocznicach znajdzie liche szosy zamiast bruku; na ciemnym rogu ulicy grozi mu rabuś, który nigdy na swej drodze nie spotka policyanta. Słowem — prostota, rządzona przez urzędników, wyłącznie powołanych z wyborów, w celu pobierania pensyi i łapówek.

Polaków znajdziecie tu wszędzie—we wszystkich dzielnicach; optymiści podają ich liczbę na ćwierć miliona; nie jest napewno niższa od dwóchkroć. Istnieją 22 parafie polskie, rozrzucone aż do osobnej osady fabrycznej Pullmana, warsztatów słynnych wagonów, gdzie też sporo Polaków znajduje

zatrudnienie Ale tu, na północo-wschodzie, jest ich najwięcej: Stanisławowo, Trójcowo, Maryanowo, Jadwigowo, Janowo i inne—oto szereg małych dzielnic polskich, zwanych tak od kościołów parafialnych. Głównemi arteryami są tu zachodnia część Divisionstreet, część Milwaukee avenue, Noblestreet, Ashland i t. d.

Tu mieszczą się wielkie kościoły i zabudowania szkolne OO. Zmartwychwstańców, tu znajdziecie redakcye większych pism polskich: tygodnika *Zgody*, organu urzędowego związku narodowego polskiego, *Dziennika Narodowego*, własności, a więc pośrednio prywatnego organu związkowców, *Dziennika Chicagoskiego*, wydawanego przez OO. Zmartwychwstańców. Tu wreszcie w domu własnym na Divisionstreet № 102—104 mieszczą się wszystkie biura Związku Narodowego Polskiego, najpotężniejszej organizacyi polskiej.

Chicago, 18 grudnia.

Wielka, największa w dzielnicy polskiej hala Walsha zapełniona przeszło dwoma tysiącami ludzi. Z okazyi naszego przyjazdu złączyły swoje usiłowania obie największe organizacye polskie: Związek narodowy i Zjednoczenie rzymsko-katolickie, poparło je duchowieństwo, tak, że śmiało powiedzieć można, że na sali obecni są przedstawiciele wszystkich odłamów opinii polskiej. Ścisk taki, że ci, którzy nie siedzą, duszą się poprostu.

O godzinie 8 i pół wieczorem otwiera wiec prezes Związku narodowego, p. Maryan Stęczyński,

który też zostaje jednogłośnie wybrany na prezydenta wiecu, a to na wniosek prezesa Zjednoczenia, p. Leona Szopińskiego, którego zebranie mianuje sekretarzem wiecu. P. Stęczyński powołuje na estradę z głębi sali przedstawicieli duchowieństwa, jako prezesów honorowych wiecu, oraz zarządy poszczególnych towarzystw, wreszcie przedstawia zebranym nas, gości z Warszawy. Estrada zapełnia się również kilkudziesięciu osobami.

Zabiera głos ks. rektor Gralewski. W wymownych słowach opowiada o ciężkich warunkach pracy posłów naszych w pierwszej Izbie, o ich nieustannem dążeniu do autonomii, prostuje zarzuty, które stosowały do reprezentacyi naszej stronnictwa rosyjskie, stawia wielki znak zapytania nad działalnością przyszłej Izby, ale zaznacza zarazem, że naród polski pozostanie i nadal wierny swemu programowi, dążeniu do usamodzielnienia kraju.

Ale to tylko jedna strona działalności. W pełnych barwnych obrazów okresach, przerywanych częstemi, grzmiącemi okiaskami, kreśli mówca piękną rolę ludu polskiego, w obecnym ruchu. I przechodzi do spraw oświatowych, do opisu powstania, założenia i działalności Macierzy. Opowiada o wielkich potrzebach oświatowych, o olbrzymim ruchu wśród całego narodu, by zakładać jaknajwiększą ilość szkół. I kreśli obraz przyszłości, kiedy losy kraju spoczną w rękach samych oświeconych i uświadomionych obywateli, w rękach samego ludu polskiego, na którego cześć wznosi okrzyk: „niech żyje!”

Sala brzmi okrzykami, wiwatami i oklaskami. Mówcy popularnemu i zrozumiałemu, umiejącemu trafić do serc słuchaczów, urządzają zebrani gorącą owacyę.

Potem przemawia dr. Kowalski, opisując szczegółowo działalność komitetu pomocy dla głodnych w Warszawie, któremu nieśli czynną pomoc materyalną rodacy z Ameryki, wreszcie autor tej książki mówi o bohaterskiej walce dzieci polskich z rządem pruskim.

Ks. Zapała, wicerektor kolegium polskiego im. św. Stanisława w Chicago, kończy szereg przemówień, wzywając obecnych do działalności oświatowej u siebie, do zakładania nowych i popierania istniejących szkół polskich w Ameryce.

Zebrani na wiecu przyjmują jednogłośnie różne rezolucye patryotyczne.

Na wniosek ks. Gralewskiego przyjęto jeszcze dodatkową rezolucyę wysłania telegramu do Henryka Sienkiewicza.

Rozchodzimy się w podniosłym nastroju jedności różnych dzielnic Polski w pracy dla dobra i przyszłości narodu.

Milwaukee, 20 grudnia.

Jedziemy z prezesem Związku narodowego, p. Maryanem Stęczyńskim, i po dwóch godzinach stajemy w Milwaukee. Przyjmuje nas na dworcu komitet obywatelski, z b. senatorem stanowym i właścicielem *Kuryera Polskiego*, dziennika miejscowe-

go — p. Kruszką — na czele. Karetami jedziemy do ks. kanonika Gulskiego i po późnym obiedzie udajemy się na wiec.

Olbrzymia polska hala Kościuszki natłoczona. Przeszło trzy tysiące ludzi. Porządku na sali pilnuje oddział polski milicyi stanowej, gwardya Kościuszki w skromnych mundurach amerykańskich i przy karabinach oraz oddział sokołów w mundurach. Przyjmują nas owacyjne oklaski.

Przewodniczy ks. kanonik Gulski, pióro trzyma dr. Wagner. Na estradzie zajmują miejsca wybitniejsi przedstawiciele kolonii miejscowej polskiej. Mów nie streszczam: obracały się zawsze innemi słowy koło tego samego przedmiotu. Muszę tylko podnieść ten olbrzymi entuzyazm, jaki wszędzie wywywołuje ks. Gralewski swemi przemówieniami. I tu okrzykom i owacyom nie było końca.

Mowy były przeplatane śpiewami doskonałego chóru mieszanego pod umiejętną dyrekcyą pana K. Małka, długoletniego artysty-organisty. Wykonano piękną pieśń Kurpińskiego „Na obcej ziemi”, „Nowy rok polski”—p. Małka oraz znaną pieśń patryotyczną „Patrz Kościuszko na nas z nieba”. Na zakończenie cała sala odśpiewała chórem „Boże, coś Polskę”.

Nazajutrz w południe odbył się bankiet na cześć gości z Warszawy z licznemi przemówieniami, potem przyjmował nas major (burmistrz) miasta w ratuszu, zwiedzaliśmy kilka pięknych kościołów, pomnik Kościuszki i czemprędzej na kolej, bo

w Chicago tego wieczora odbywało się na naszą cześć uroczyste przedstawienie teatralne.

*

* *

Polacy żyją tu skupieni i zgodni, względnie zaś przeważają członkowie Związku Narodowego i organizacyi lokalnej Zjednoczenia Polaków w Milwaukee. Dzięki skupieniu i zgodzie wywierają pewien wpływ na sprawy miejskie i stanowe. Piastują urzędy aldermanów (radców miejskich); Polak, pan Pawiński, był kontrolerem miasta (drugi urząd po burmistrzu); pan Michał Kruszka był senatorem czyli członkiem izby wyższej stanu Wisconsin. Niegdyś demokraci, przechylają się dziś Polacy tutejsi więcej na stronę republikanów, zrażeni coraz bardziej demagogicznemi hasłami pierwszych.

Więc republikański jest i organ polski miejscowy *Kuryer Polski* Lokal wspaniały w śródmieściu, maszyny do składania (linotypes), maszyny rotacyjne i t. d.

Rozpoczął też właśnie wczoraj wychodzić nowy tygodnik polski *Nowiny*, organ ks. Górala, profesora sąsiedniego seminarjum w St. Francis, wydającego *Orędownik Językowy*, którego wzniosłym celem jest utrzymanie w czystości języka polaków amerykańskich. Ludzie zmaterjalizowani wzruszają nań ramionami, a niestrudzony idealista niewzruszenie idzie swoją drogą. Walczy też nieustannie o pra-

wa polskiego języka w seminarjum, gdzie jest kilkudziesięciu studentów polaków: dzięki jego staraniom mianowano nowego nauczyciela polaka. Miły to i bardzo wykształcony człowiek — inteligencyą i idealizmem odbija wybitnie na tle i podłożu tutejszem.

W Milwaukee istnieje kilka parafii polskich, przy nich szkoły, w których pobiera naukę kilka tysięcy dzieci polskich. Polacy mają najwspanialsze kościoły, odznacza się zwłaszcza bazylika św. Józefata. Te kościoły powstały z ofiarności i grosza ludu polskiego.

Chicago, 21 grudnia.

...Amatorzy grają „Zemstę za mur graniczny" i grają zupełnie dobrze. Ze sceny płynie gładki, piękny wiersz Fredrowski, kontusze i karabele przenoszą nas w świat o tysiące mil i dziesiątki lat odległy... Tysiąc przeszło ludzi, przepełniających wielką hallę, słucha w skupieniu, śmieje się, bije oklaski.

W antrakcie, ostatni raz przed wyjazdem mówi ks. Gralewski. I dochodzi do wyżyn krasomówstwa, kiedy podnosi piękność języka ojczystego, tej mowy, która jest sztuką sztuk, bo i maluje, i rzeźbi, i melodyą swoją ucho zachwyca...

Przedstawienie kończy się. Jeszcze spędzamy parę godzin w miłem towarzystwie, żegnamy się z rodakami, do których już przywiązała nas ich życzliwość i serdeczność. Widzimy się po raz ostatni: jutro ruszamy dalej — do Detroit. W niejed-

nem oku łza błyska, gdy odbieramy różne polecenia do krewnych, znajomych, pozdrowienia tej ziemi, która „jest jak zdrowie"... Smutek pożegnania...

*

* *

Parę słów o teatrach polskich. Najliczniejsze stowarzyszenie — to ten właśnie „Teatr polski", który grał „Zemstę". Prezesem jest dr. Adam Szwajkart (rejent), reżyserami pp. Szczęsny Zahajkiewicz (Dyndalski) i Karol Wachtel (Papkin), którego nie powstydziłaby się żadna scena zawodowa. Grają takie rzeczy, jak „Nazawsze" Rydla, „Warszawiankę" — Wyspiańskiego. A grają w bardzo trudnych warunkach, bo wszyscy amatorowie są to ludzie pracy, zajęci nieraz do siódmej i dziesiątej wieczorem. Jednakże dają sobie radę, dochodzą do pewnego poziomu artystycznego, pracując z prawdziwem poświęceniem.

Drugie Towarzystwo nosi tytuł „im. Fredry." Jeżeli pierwsze jest niejako ekspozyturą inteligencyi polskiej, to drugie reprezentuje sfery ludowe, robotnicze. Pierwsza grupa grywa zwykle w śródmieściu, w prawdziwym teatrze, o drogich miejscach — drugie w halach parafialnych, a miejsca są bardzo tanie. Oba towarzystwa nie skąpią swych występów na cele ogólne, zwykle zaś grywają na pokrycie kosztów.

Byłem także na przedstawieniu Tow. im. Fredry, gdzie reżyserem jest p. Jachimowski. Grano

„Radców pana Radcy“ — Bałuckiego i stary jak świat wodewil „Młynarz i kominiarz.“ Grano doskonale; muszę wymienić wyborną naiwną, p. Dobrosielską i kominiarczyka, p. Kucharskiego. Duża rutyna i obycie ze sceną: to są prawie teatry zawodowe.

Grają też po halach parafialnych inne, drobniejsze towarzystwa amatorów, posiadające swoją publiczność lokalną, pełne dobrych chęci i pożytecznych usiłowań.

A ich misya? Są to ważne i wielkie posterunki narodowe, szkoły mowy polskiej. Bo skądże, gdzie ją usłyszeć, nieskażoną angielszczyzną? W potocznej rozmowie, przeplatanej „karami“, „szapami“, „sztorami“, „kornerami“ i t. d.? Czy może w pismach, które tyle dają materyału ks. Góralowi i jego *Orędownikowi*? Nie może jej dać nikt, tylko pisarz polski, przemawiający za pośrednictwem aktorów. I dlatego tym bezinteresownym pracownikom należy się cześć, uznanie i zachęta i tej z pewnością nie poskąpi im wędrowny rodak, bynajmniej nie teatroman, ale pojmujący doniosłość społeczną teatru polskiego tu—za Oceanem.

Może słowa te będą czytane w naszych kancelaryach teatralnych. Niechże wezmą je do serca; niech nie skąpią rad i wskazówek rodakom amerykańskim, niech im pomagają dostarczaniem rękopisów sztuk, które drukowane nie były — oczywiście za zapłatą, bo tu nic darmo nie chcą i nie potrzebują. Ale niech nadal listów i próśb nie lekceważą—niech też pomogą dobrej sprawie.

Ja spełniam życzenie tych, którym nikt nie pomaga, a którzy nie ustają w pracy dla mowy ojczystej...

Detroit, Michigan, d. 23 grudnia.

Miasto, w którem te słowa kreślę, jest wybitną kolonią polską nietylko dlatego, że na trzykroć sto tysięcy mieszkańców posiada piątą część Polaków, lecz przedewszystkiem dlatego, że jest siedliskiem jedynego na całe Stany Zjednoczone seminaryum duchownego polskiego. Mimo znacznej liczebności ludność polska nie odgrywa żadnej roli w życiu miasta, częściowo skutkiem niekorzystnego dla Polaków podziału na okręgi wyborcze, po części zaś z powodu niskiego poziomu uświadomienia obywatelskiego i narodowego. Tylko około dziesięciu procent wszystkich Polaków należy do organizacyi: istnieje trzydzieści grup Związku narodowego polskiego, a także trzy tysiące osób należy do miejscowego „Stowarzyszenia Polaków w Detroit". Przeważają tu kaszubi, umiejący się rządzić i dlatego najzamożniejsi; pod względem narodowym mało uświadomieni, lawirujący niejako między Niemcami i Polakami. Rozwijana obecnie przez niektóre jednostki z pośród nich żywa działalność narodowa pozwala przypuszczać, że w przyszłości żywioł ten złączy się zupełnie z Polakami.

Mieszkamy w seminaryum. Trafiliśmy już na rozjazd świąteczny wychowańców, obserwujemy je więc tylko w spokoju, a nie w ruchu.

Gmach duży, sale wysokie, dużo światła i po-

wietrza. Uczniowie posiadają te same wygody, co w kolegiach angielskich: wielki basen kąpielowy, prysznic, salę bilardową, salę do gier; istnieją też chór, orkiestra, towarzystwa sportowe. Seminaryum posiada prostą, ale bardzo artystycznie i spokojnie, stylowo urządzoną kaplicę, ozdobioną wedle renesansowych wzorów włoskich; na szczególną uwagę zasługują olbrzymie świeczniki, kopiowane wedle oryginałów Michała Anioła we Florencyi.

W Detroit istnieje osiem parafii, kościoły olbrzymie, wspaniałe, może trochę krzykliwie czasem urządzone. Na szczególną uwagę zasługuje kościół pod wezwaniem Serca N. M. P. Była to niegdyś twierdza t. zw. „niezależnych", nie uznających władz kościoła. Ale proboszcz „niezależny", który ten kościół stawiał i urządził, ks. Kolasiński, nawrócił się uroczyście przed śmiercią, a za nim poszli jego parafianie, którzy właściwie nigdy od Kościoła nie odpadali, tylko szli za swoim proboszczem.

Dzięki takiemu pochodzeniu, jest to jedyny tutejszy kościół bez długów, inne bowiem jak zwykle obciążone są długami hypotecznemi.

Prawdziwem ogniskiem polskości i działalności patryotycznej jest tu także dom macierzysty zakonu sióstr Felicyanek, które dostarczają największego kontygensu nauczycielek szkołom parafialnym polskim. Prowadzą one w Detroit wzorową szkołę dla dziewcząt i posiadają ciekawe muzeum szkolne, świadczące o wzruszającem przywiązaniu ofiarodawców i ofiarodawczyń.

Takie są w ogólnych zarysach czynniki życia polskiego w Detroit. Wszystkie dokładają wszelkich starań do urządzenia dzisiejszego wieczornego wiecu, na którym mamy przemawiać wszyscy i wejdziemy w zetknięcie bezpośrednie z Polonią tutejszą.

Buffalo, 24 grudnia.

Wczorajszy wiec w Detroit udał się bardzo dobrze. Szkoda, że hala mała pomieściła tylko tysiąc ściśniętych jak śledzie osób, a drugie tyle musiało odejść z powodu braku miejsca. Ks. rektor Gralewski wywołał taki entuzyazm, że na rękach wyniesiono go z sali.

Zaraz po wiecu wyjechaliśmy do Buffalo pod niezatartem wrażeniem ciepła i serdeczności przyjęcia, jakiego doznaliśmy w tem mieście.

Niagary nie widzieliśmy, bo było jeszcze zbyt ciemno.

Wczesnym rankiem stanęliśmy w Buffalo.

Mieszkam tu na krańcu miasta, u znanego już czytelnikom ks. Chodackiego. Kościół i plebania skromne i ubogie; kiedy zabłysła pierwsza gwiazda, wyjrzałem przez okno: równina zasłana śniegiem, na niej rzadkie domki, przez okna dochodzą dźwięki pieśni polskiej.

Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Plebania i kościół proste i ubogie, ale ani grosza długu, parę tysięcy na hypotekach i dużej wartości plac, jako zadatek na przyszły kościół. Proboszcz—chłop z pod Tarnowa, ma parafian chłopów galicyjskich; za nim i za nimi pozostał grunt w starym kraju, za nim — matka, za nimi—żony. Rozumieją się doskonale. Patos, rubaszność, wesołość proboszcza — wszystko im przemawia do przekonania. To też drzwi się nie zamykają, dzwonek ciągle jęczy. Niema godzin przyjęć, niema porady, proboszcz oddany tylko parafianom i kościołowi — zawsze ma czas; spieszą do niego po radę i pociechę ze wszystkiemi zmartwieniami i kłopotami.

Siadamy do skromnej wigilii z ks. Chodackim i jego wikarym. A potem idziemy do swoich zajęć; oni — spowiadać, ja — pisać, korzystając z wolnej chwili. Jeszcze takiej wigilii nie miałem nigdy w życiu...

...Kiedy na pasterce z głębi mocnych piersi męskich zagrzmiało:

Podnieś rękę, Boże dziecie,
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach w dobrym bycie
Wspieraj jej siły swą siłą
Dom nasz i majętność całą
I nasze wioski z miastami...

...niejednemu głos się załamał, a ja z głębi duszy powtarzałem: Błogosław krainę miłą... i tak daleką...

*
*   *

W Buffalo mieszka przeszło osiemdziesiąt tysięcy polaków, skupionych w osobnych dzielnicach; Polacy stanowią większość katolików w dyecezyi buffaloskiej. Mają dziś osiem parafii, podczas gdy przed trzydziestu czterema laty pierwszy i najstarszy proboszcz buffaloski, ks. Pitass miał wszystkiego siedemdziesięciu kilku parafian. Ten starzec energiczny, wytrwały, despotyczny, arbitralny, ale indywidualność wybitna, jest typem bardzo ciekawym i człowiekiem niewątpliwych zasług dla Polonii tutejszej. Wojowniczy z usposobienia, stanowi doskonałą, dobraną parę ze Stanisławem Śliszem, redaktorem niegdyś *Wiary i Ojczyzny* i *Kropidła*, dziś dziennika *Polak w Ameryce*, pism jaskrawo polemicznych, konserwatywnych, broniących wytrwale i zaciekle haseł katolickich i narodowych. Obdarzony wielkiemi zdolnościami i fenomenalną pamięcią redaguje, pisze i walczy piórem pomimo utraty wzroku przed laty kilkunastu; jest też wraz z ks. Pitassem żywą kroniką polonii buffaloskiej.

Znaczna większość polaków należy do stronnictwa demokratycznego, chociaż i tu daje się odczuwać zwrot w kierunku republikańskim. Polacy odgrywają pewną rolę w mieście i powiecie; mają trzech radców miejskich; komisarzem powiatowym jest p. Jan Chojnacki; wiceprezesem wydziału zdrowia (board of health) i zastępcą lekarza miejskiego jest dr Franciszek Fronczak, który w wolnych chwilach ima się pióra w czasopismach polskich i angielskich, gdzie jest bardzo ceniony; krakowski

Przegląd Lekarski drukował jego pracę p. t. „Stosunki lekarskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej".

Wczoraj odbył się wiec, urządzony przez część tylko polaków; widocznie wzajemne niechęci są tu silniejsze, niż gdzieindziej, skoro nasz przyjazd nie stał się powodem choćby chwilowego połączenia, jak to było w Chicago, Milwaukee i Detroit.

Nowy Jork, d. 4 stycznia.

Na zakończenie muszę zanotować dwa udane wiece, w Baltimore, w przeszłą niedzielę i wczoraj w Nowym-Jorku. Obydwa liczne, obydwa odznaczyły się serdecznem przyjęciem.

Wczoraj zebrało się w Everet hallu około tysiąca osób, co na tutejsze stosunki ze względu na rozrzucenie Polonii po całem olbrzymiem mieście, jest liczbą bardzo znaczną.. Zagaił wiec p. Stanisław Sleszyński, długoletni i zasłużony działacz na polu narodowem, przewodniczył zaś zebranym ks. Kwiatkowski, proboszcz z Jersey City. Straż trzymały towarzystwa wojskowe w mundurach. Chóry „Harmonii" wykonały szereg pieśni polskich z towarzyszeniem orkiestry. Publiczność była inna, niż w innych miastach: raczej mieszczańska, inteligentna niż ludowa.

Nowy Jork posiada wśród kolonii polskiej najwięcej socyalistów, którzy nie omieszkali też urządzić małej awantury. Mowie ks. rektora nie przeszkadzano, ale już przemówienia ks. Kwiatkowskiego i d-ra Kowalskiego były przerywane tłumionemi

okrzykami. Po ukończeniu wiecu odśpiewano, jak zwykle „Boże coś Polskę", ale zaraz potem socyaliści zaintonowali „Czerwony sztandar", orkiestra chciała ich zagłuszyć, oni jednak śpiewali. O mało co nie przyszło do bójki. Przy opuszczaniu sali rozlegały się okrzyki „precz z narodowcami" „precz z Polską". Jak u nas...

To był wiec ostatni. Jutro ks. Gralewski i d-r Kowalski wyruszają na pokładzie „Ameryki" do „starego kraju".

*

* *

Przyjazd ks. Gralewskiego do Ameryki, liczne wiece urządzane w różnych miejscach wzbudziły zainteresowanie wśród Polonii w Stanach Zjednoczonych i spopularyzowały ideę Macierzy. Ponieważ jednak niepodobna było dotrzeć nietylko do wszystkich osad polskich, ale nawet do wszystkich najważniejszych, więc ks. rektor na wyjezdnem z Ameryki wydał dwie odezwy, wzywające do składek na Macierz: jedną, która ma być rozesłana listownie wszystkim księżom i drugą do wszystkich organizacyi stowarzyszeń i redakcyi pism polskich.

Podaję je poniżej w brzmieniu dosłownem:

Wielebny księże Proboszczu!

Podwójne braterstwo w kościele Chrystusowym i Ojczyznie miłej ośmiela mnie do zwró-

cenia się do Waszej Wielebności z prośbą o moralne i materyalne poparcie Polskiej Macierzy Szkolnej w Królestwie Polskiem. Polska Macierz Szkolna stoi po za partyami: zadaniem jej jest służenie narodowi całemu a zwłaszcza ludowi wiejskiemu i miejskiemu przez zakładanie ochron, szkół, bibliotek, uniwersytetów i innych pokrewnych instytucyi, dzięki którym młode pokolenia wyrosną na ludzi świadomych swych obowiązków i swych praw.

Wielkie zainteresowanie się sprawą „Macierzy", na wiecach, urządzanych podczas mego pobytu przez komitety obywatelskie w różnych miastach Stanów Zjednoczonych, przekonywa mnie o niezmordowanej pracy duchowieństwa nietylko w utrzymywaniu lecz i rozbudzaniu ducha szczerze polskiego wśród ludu.

Przodująca rola duchowieństwa polskiego wśród rodaków naszych, każe mi wierzyć w wielki wpływ kleru na synów kościoła i narodu.

Z tą wiarą zwracam się do Waszej Wielebności, aby w tej przełomowej dla naszego kraju chwili zechciał sam przyjść z pomocą Polskiej Macierzy Szkolnej i zachęcił lud Polski do ofiarności na cele oświaty ludowej.

Wyrazy poważania łączę

Ks. Jan Gralewski.

DO ORGANIZACYI TOWARZYSTW, CZASOPISM I LUDU POLSKIEGO.

Podczas mego pobytu wśród Polonii Amerykańskiej, widziałem siłę ludu Polskiego,

który pod przewodnictwem swego duchowieństwa potrafił wznieść wiele kościołów i wybudować wiele szkół.

Organizacye i Towarzystwa polskie, polskie piśmiennictwo amerykańskie, wyrabiają cnoty obywatelskie, kształcą umysł, ożywiają ducha narodowego przez podtrzymanie łączności z krajem macierzystym.

Wszystko to świadczy o niespożytej sile ducha polskiego, który dzięki wolności amerykańskiej potrafi się rozwijać, nie zatracając w większości wypadków swych odrębności narodowych.

Odrobina zdobytej wolności w zakresie szkolnictwa prywatnego w Królestwie Polskiem, pobudziła wszystkie warstwy naszego społeczeństwa do ofiarności na cele oświaty narodowej. Jak tu w Stanach Zjednoczonych, tak i tam w starym kraju cały ciężar oświaty narodowej, spoczywa dziś jedynie na narodzie.

Społeczeństwo nasze w Królestwie Polskiem przed rokiem niespełna, zorganizowało się w jednej instytucyi oświatowej, nazwanej zaszczytnie „Polską Macierzą Szkolną".

Zadaniem tej instytucyi jest służenie całemu narodowi, a zwłaszcza ludowi wiejskiemu i miejskiemu, przez zakładanie ochron, szkół, bibliotek, uniwersytetów i innych pokrewnych instytucyi, dzięki którym młode pokolenia wy-

rosną na ludzi, świadomych swych obowiązków i praw.

Naród Polski wierzy, że oświata ludu podniesie wartość całego naszego narodu. Tym sposobem sprawa oświaty ludu w Królestwie Polskiem nie jest sprawą jednej tylko dzielnicy:—kultura Polska i jej owoce należą do całego narodu Polskiego.

W imię tej wiary zwracam się do wszystkich, komu szczęście narodu naszego jest drogie, o ofiarność na cele oświaty ludowej w Królestwie Polskiem.

Śpieszna poważniejsza pomoc wobec zakładania w roku bieżącym tysiąca szkół ludowych w obecnej chwili byłaby donioślejsza, niż choćby pomoc stała, lecz rozłożona na dłuższy okres czasu.

Dziękuję organizacyom, Towarzystwom, prasie, kochanemu ludowi Polskiemu za radę, serce i pociechę, jakich podczas mego pobytu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, od Was doznałem, sprawę oświaty ludu Waszej zacnej trosce w tej przełomowej dla naszego kraju chwili sercem całem polecam, pisząc się Waszym bratem.

Ks. Jan Gralewski.

Wielkie zainteresowanie, jakie wywołała ta nasza wyprawa, jak również obietnice pozytywne, otrzymane od wszystkich organizacyi polskich w Sta-

nach Zjednoczonych, pozwalają przypuszczać, że odezwy odniosą skutek pożądany [1]).

ROZDZIAŁ XXI.

Społeczeństwo Polskie w Stanach Zjednoczonych.

Wrażenia i wnioski.

Wychodźctwo Polskie w Ameryce Północnej nazywają często czwartą dzielnicą Polski; wyrażenie to jest bardziej miłe dla ucha, aniżeli odpowiadające rzeczywistości. Dzielnice Polski historycznej stworzone zostały drogą przypadku, ale później wyrabiały już w sobie, prócz wspólnej, swoje tradycye własne, oparte na ziemi, która jest jedyną zewnętrzną wyrazicielką ojczyzny. W Ameryce społeczeństwo Polskie powstawało drogą zupełnie przypadkowych, większych lub mniejszych dopływów fali emigracyjnej, tworzyło się z żywiołów ciemnych, kulturalnie nizkich, mających tylko napoły świadome uczucie miłości ziemi ojczystej, a prawie żadnego—jej tradycyi. Emigranci ci byliby zupełnie oddani na pastwę amerykanizacyi, gdyby nie różne kształty zrzeszeń, od parafii i szkoły począwszy, a kończąc na stowarzyszeniach.

Polacy tworzą przeważnie kolonie skupione.

---

[1]) Czy odniosły — nie wiem. W niespełna rok potem Macierz już nie istniała.

Ośrodkiem kolonii jest zawsze kościół i parafia. Około tego centrum gromadzą się powoli cząsteczki—ludzie; im większa komórka, tem więcej potem przyciąga ludzi z Europy, przybywających na podstawie relacyi krewnych lub znajomych, tam, gdzie informatorom było najlepiej. Taką drogą z biegiem lat powstały wszystkie wielkie kolonie Polskie.

Ponieważ osiedlanie się Polaków nietylko w danym stanie, w danem mieście, ale w danej dzielnicy miasta, zależne jest od bliskości kościoła i od parafii, przeto przeważnie Polacy skupiają się razem, tworząc w wielu miastach czysto-polskie dzielnice, nieraz obok siebie położone. Ale nie wszędzie i nie zawsze. Na olbrzymich obszarach miast amerykańskich dzielnice tańsze, w których przeważnie mieszkają Polacy, znajdują się nieraz na bardzo odległych od siebie krańcach, tak, że komunikowanie się dwóch dzielnic polskich w jednem mieście bywa czasem bardziej utrudnione, niż kolonii dwóch miast lub miasteczek na prowincyi. W takiem położeniu są np. Polacy, rozrzuceni na olbrzymiej przestrzeni New-Yorku i Brooklynu; mimo, że jest ich tam 60,000 z górą, ani wśród ogółu Polaków w Ameryce, ani też w życiu miasta żadnej nie odgrywają roli.

Skupienie Polaków ma znaczenie dwojakie: pod względem narodowym przeciwdziała skutecznie amerykanizacyi, pod względem stanowiska ludności polskiej w nowej ojczyźnie, podnosi jej znaczenie polityczne. Istotnie—tylko przy wielkich, dzielnicowych skupieniach Polaków, mogą oni odgrywać pewną rolę przy wyborach i odgrywają ją też faktycznie w Chicago, Milwaukee, Buffalo i innych miastach, gdzie przeprowadzają Polaków do rad miej-

skich i ciał prawodawczych stanowych. W stanie New-York siła wyborcza Polaków, zaznaczyła się tylko negatywnie — przy obaleniu kandydatury na gubernatora osławionego krzykacza, przywódcy lewego skrzydła demokratów, milionowego dziś wydawcy pism, Hearsta; chodziło w danym razie o pokazanie jemu i jego zwolennikom potęgi żywiołu polskiego. Zdaniem wielu, ludność polska w Ameryce uczestniczy zbyt biernie w miejscowem życiu politycznem; twierdzą oni, że w przesiąkniętem polityką życiu amerykańskiem, żywszy udział Polaków w wyborach, umiejętne rzucanie ich wpływu na szalę jednej lub drugiej partyi, mógłby wywrzeć wpływ na sprawy, pozornie nie mające żadnego związku z polityką, np. na bardziej sprawiedliwe uwzględnianie interesów narodowych w wyższej hierarchii Kościelnej, co ze względu na przeważne znaczenie kościoła w życiu Polonii tutejszej, jest wielce bolesną stroną w życiu polsko-katolickiem.

Nie można powiedzieć, żeby przeważna część Polaków amerykańskich oryentowała się dobrze i świadomie w polityce olbrzymiej rzeczypospolitej: idą oni za naturalnymi swymi dziś przewodnikami— księżmi, jutro zaś pójdą za wytwarzającą się powoli inteligencyą polsko - amerykańską. Niedalekie to czasy, kiedy pojęcie Polaka utożsamiano ściśle z pojęciem katolika, a katolik nie mógł nie być demokratą; wówczas wszyscy Polacy głosowali solidarnie na listę demokratyczną przy wszystkich wyborach: miejskich, okręgowych, stanowych i ogólnych. Dziś, wśród ludności polskiej zaczynają przeważać powoli, ale stale wpływy republikańskie.

Pod względem ekonomicznym powodzi się Po-

lakom amerykańskim stosunkowo dobrze. Stosunkowo—to znaczy, że dobrobyt ich jest większy, niż w starej ojczyźnie, z powodu wyższej skali zarobków, a nie droższej stopy życia dla ludzi, nie należących do inteligencyi, nie będących niewolnikami jej potrzeb. Jeżeli jednak brać za podstawę porównania zamożność innych narodowości w Ameryce, to porównanie wypadnie na niekorzyść Polaków.

Rodacy nasi stoją gorzej ekonomicznie od innych narodowości ze względu na słabą znajomość języka angielskiego, brak obrotności i brak przedsiębiorczości; Polacy są bardzo cenieni w fabrykach, jako robotnicy, przedewszystkiem dlatego, że pracują taniej, niż inni, że są posłuszniejsi, spokojniejsi i pracowitsi; wbrew bowiem rozpowszechnionym w Europie przekonaniom, robotnik, zrodzony w Ameryce, pracuje mniej intensywnie od immigranta, zwłaszcza Polaka. Płaca zarobkowa jest jednak tak wysoka, że przy skromnych wymaganiach i oszczędności większość Polaków składa dość znaczne sumy. Wielu wówczas rzuca robotę i dorabia się dalej samodzielnie, przeważnie na szynkach lub pośrednictwie w sprzedaży gruntów w miastach i po wsiach. Ale majątki Polaków nie dorównywają nigdy tym, których dorabiają się inne narodowości. Nie wiem, czy najbogatszy Polak w Ameryce posiada pół miliona dolarów majątku, co na tamtejsze stosunki można nazwać tylko skromną zamożnością. Ponieważ znaczenie w Stanach Zjednoczonych nadaje tylko wielki wpływ w polityce lub znaczne majątki, więc Polacy nie są wybitnym żywiołem Stanów: wśród immigrantów idą po Irland-

czykach, Niemcach, może razem z Włochami, a może i po nich.

Pewną przyczyną tego niewielkiego znaczenia może być też i fakt, że bardzo mocno trzymają się swego języka i swej narodowości. Uwaga ta prowadzi bezpośrednio do odpowiedzi na pytanie, czy się Polacy wynaradawiają i w jakim stopniu.

Stopień wynarodowienia określają dwa czynniki: przywiązanie do dawnej ojczyzny, która pozostała za morzem, i stosunek do nowej ojczyzny, do Ameryki. Przywiązanie do kraju ojczystego, jako uczucie, oparte na podkładzie realnym, na umiłowaniu ziemi, istnieje bardzo żywo w pierwszem pokoleniu immigrantów, nie może zaś istnieć w drugiem, już zrodzonem w Ameryce. Przywiązanie pierwszych wyraża się najsilniej w posyłaniu wszystkich oszczędności do kraju (Galicya, po części Królestwo) na dokupywanie ziemi, w powrocie do ojczyzny. Patryotyzm drugich jest bardziej platoniczny, oparty na umiłowaniu tradycyi dziejowych, zwłaszcza tradycyi walk o niepodległość, jak również na stosunku do trzech mocarstw rozbiorowych. Uczucia te trzeba nazwać platonicznemi, wyrażają się bowiem w uchwałach wiecowych, w przemówieniach, nigdy jednak pociągnąć nie mogą za sobą czynu. Jest wszakże jeden wyjątek: wśród emigracyi polskiej w Ameryce wielką popularnością cieszy się idea powstania zbrojnego, co umieli wyzyskać socyaliści, zbierając pod tym pretekstem znaczne fundusze podczas dwóch lat ostatnich.

Amerykanizacya idzie oczywiście przedewszystkiem szlakami językowymi. Emigrant, który przybył wprost z kraju, któremu niezmiernie pierwsze kro-

ki utrudniała i całe życie jeszcze utrudnia nieznajomość języka angielskiego, pragnie ustrzedz dzieci swoje od tej przeszkody, chętnie posyła je do szkoły angielskiej, chętnie patrzy na przyjmowanie przez nie obyczajów miejscowych, wreszcie na wrastanie w stosunki amerykańskie. Cechy te występują tem wyraźniej, im mniej kulturalni są rodzice, a znajomość języka i uczucia polskie dzieci są w prostym stosunku do otoczenia i wychowania domowego, do stopnia przywiązania rodziców do polskości. Dzieci w większości przyzwyczajają się mówić i myśleć po angielsku; język ten staje się dla nich powszednim, gdy polski i polskość będzie synonimem obchodowej świąteczności. Więc widzimy np. dzieci, które tylko co na estradzie odśpiewały pieśni polskie, lub deklamowały wiersze polskie, porozumiewające się z sobą potocznie po angielsku, kiedy z estrady schodzą. Dzieci te, później, gdy dorosną, będą się również ze sobą porozumiewały potocznie po angielsku, prowadząc równocześnie rozmowę z gośćmi po polsku. Wiele z nich pozostanie w szarym tłumie, ale wiele pokończy uniwerytety — tak powstaje inteligencya polsko-amerykańska.

Jedyną inteligencyą ludu polskiego za oceanem byli dotąd księża, co zapewniało im wpływ prawie bezwzględny; o innych emigrantach inteligentach lepiej nie mówić: z małemi wyjątkami byli to ludzie, którzy w „starym kraju” mieli zatargi z kodeksem karnym. Teraz powstaje nowa inteligencya, zrodzona już na ziemi amerykańskiej, z uczuć i tradycyi polska, z usposobień i przyzwyczajeń już amerykańska, z języka należąca i do Polski, i do Anglii, z pewną przewagą na rzecz ostatniej. Trafiają się

nawet typy niewątpliwych Polaków, nie umiejących ani słowa po polsku, nadsyłających swoje artykuły do czasopism polskich, pisane po angielsku.

Są to typy naogół sympatyczne. Wychowani już w Ameryce, przystosowani do przenikającej życie tamtejsze samopomocy, o wiele rozumniejsi i bardziej wykształceni, niż ich rodzice, emigranci w pierwszem pokoleniu—stanowią niewątpliwie żywioł dodatni wśród społeczeństwa polskiego w Ameryce. Nietylko uczucia, ale i interes wiąże ich z polskością; każdy z nich zanadto jest Amerykaninem, aby nie żywił ambicyi politycznych, a polskość ułatwia urzeczywistnienie tych ambicyi, zapewniając im przy wyborach głosy polskie. Toż samo stosuje się do zawodów życiowych, które sobie obrali: polskość daje im klientelę polską, niewątpliwie najłatwiejszą, a bynajmniej nie najgorszą. Ten sam interes wiąże może jeszcze bardziej z polskością księży, urodzonych i wychowanych w Ameryce, zapewnia im bowiem parafie polskie, podatniejsze do rządzenia i bardzo dochodne. Nie trzeba tracić z oczu tego czynnika interesu, bardzo charakterystycznego dla Ameryki, kiedy się mówi o przyszłości inteligencyi polsko-amerykańskiej.

Jedyne skuteczne tamy przeciw fali amerykanizacyjnej buduje Kościół wraz ze szkołą polską, całkowicie pozostającą w jego ręku, potężne związki i stowarzyszenia, wreszcie—*last but not least*—czasopiśmiennictwo polskie. Wszystkie te czynniki razem wzięte nie mogą uchronić Polaków amerykańskich od wynarodowienia częściowego. Nie należy jednak tych czynników lekceważyć, bez nich bowiem nie mielibyśmy już dziś wcale Polaków

w Ameryce. Niepodobna oczywiście przeprowadzić ścisłej statystyki, ilu ich tracimy corocznie, ale z całą pewnością powiedzieć można, że ewentualne straty pokrywa z lichwą coroczny dopływ świeżych emigrantów polskich z Europy. Dla oświetlenia tego bilansu dodać jednak trzeba, że tracimy jednostki inteligentniejsze, bardziej cywilizowane, społecznie cenniejsze, zyskujemy zaś tłum dość ciemny, nieprzystosowany do warunków amerykańskich, choć i pod tym względem znać duży postęp: w miarę rozwoju oświaty we wszystkich częściach dawnej rzeczypospolitej fala emigracyjna wyrzuca na brzeg amerykański żywioły coraz mniej barbarzyńskie. W każdym razie jednak społeczeństwo polskie w Ameryce zyskuje corocznie ilościowo więcej, niż traci jakościowo.

Ze stanowiska ogólno-narodowego społeczeństwa tego przeceniać nie można: nie stanowi ono siły żywej, lecz martwą. Przy umiejętnej organizacyi stosunków ze „starym krajem" mogłoby służyć za rynek zbytu dla naszych książek, podręczników naukowych, dając nam wzamian pomoc materyalną dla naszych poczynań i prac narodowych. Jest to bardzo niewiele, ale dziś niema i tego. Nie z winy Polaków amerykańskich, lecz z naszej winy. Tam jest bezsporna chęć utrzymywania stałych stosunków z ojczyzną; u nas, w Europie, nie robi się nic w tym kierunku. A praca to nie ostatnia, chociażby dlatego, że corocznie udają się za ocean tysiące Polaków i że prądu tego żadna siła wstrzymać nie może i nie wstrzyma.

KONIEC.

Spis rzeczy.

POLACY W AMERYCE.

Strona:



„MODERNE" Wyborne mydło
F. PULS.
TOW. AKC. w WARSZAWIE
DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.

OD KASZLU I CHRYPKI

ZALECAJĄ LEKARZE

FAY'A
PRAWDZIWE
SODEŃSKIE
MINERALNE
PASTYLKI

Cena pudełka 70 kop.

Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Żądać wyraźnie pastylki **FAY'A** i odrzucać falsyfikaty.

SKŁAD MEBLI

MAJSTRÓW STOLARSKICH

JANA BEREZIŃSKIEGO

WARSZAWA,
UL. KRÓLEWSKA № 6
wprost Mazowieckiej
TELEFON 51-52.

Całkowite urządzenia w różnych stylach skromne i wykwintne, oraz roboty tapicerskie i dekoracje.



NESTLE'A MĄCZKA MLECZNA

IDEALNY POKARM
DLA NIEMOWLĄT ORAZ DOROSŁYCH
CHORYCH NA ŻOŁĄDEK.

3